

zwrot

8
25

MIESIĘCZNIK POLSKIEGO ZWIĄZKU
KULTURALNO-OŚWIATOWEGO W RC
CENA 50 Kč
WWW.ZWROT.CZ



JANUSZ KONIECZNY

ISSN 0139-6277



9 770139 627003 >

3 W Bibliotece Regionalnej w Karwinie otwarto wystawę grafik autorstwa wykładowców Instytutu Sztuk Plastycznych Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie: Oliwii Wójcik, Wojciecha Osuchowskiego i Roberta Lipki. Artyści zaprezentowali różnorodne podejścia do grafiki warsztatowej – od abstrakcji organicznej i geometrycznej po plakaty 3D.

3-6 Zespół Pieśni i Tańca *Suszanie* wziął udział w międzynarodowym festiwalu *Karpackie Zwierciadło Kultur. Prolog*. W programie pobytu znalazły się nabożeństwo ekumeniczne w Kalwarii Pałacowskiej, koncert galowy w Hotelu Arłamów oraz występy przed bazyliką w Kalwarii Pałacowskiej i w Medyce. Uczestnicy zwiedzili też Przemyśl i wzięli udział we wspólnych próbach tanecznych. ▼



3-9 Zespół Folklorystyczny *Zaolzi* z Jabłonkowa uczestniczył w międzynarodowym festiwalu *Sile Folk* w Treviso we Włoszech. Na niemal codziennych występach *Zaolzi* prezentowało tańce m.in. z Beskidu Śląskiego, Podhala, regionu Zamuot, Terchovej oraz tańce cygańskie. Członkowie zwiedzili też Wenecję, a na zakończenie relaksowali się na plaży w Jesolo. ▼



6-14 Nagrodą za realizację programu zeszlorocznego jubileuszu był dla Zespołu Folklorystycznego *Bystrzyca* wyjazd do Grecji na festiwal w Paralii. Częścią programu było integracyjne spotkanie zespołów na Aloha Beach, z pokazami tanecznymi grup z Bułgarii, Serbii, Słowacji i Polski. Punktem kulminacyjnym był występ w Paralii, podczas którego *Bystrzyca* zaprezentowała folklor Beskidu Śląskiego. Oprócz codziennych prób przed występem na festiwalu, członkowie zespołu mieli



okazję do zwiedzania Salonik – m.in. kościoła św. Demetriusza wpisanego na Listę UNESCO – czy rejsu po Morzu Egejskim.

7 W Hawierzowie Szumarku, przy tablicy pamiątkowej na miejscowym cmentarzu, odbyły się uroczystości upamiętniające 64. rocznicę katastrofy górniczej w kopalni Dukla. Wzięli w nich udział potomkowie rodzin zmarłych górników, przedstawiciele władz wojewódzkich, Głównej Stacji Ratownictwa Górniczego w Ostrawie, klubów i kół umundurowanych górników, Klubu Przyjaciół Muzeum Górnictwa, harcerze oraz mieszkańcy i goście, dla których pamięć o tragicznej historii regionu ma szczególne znaczenie. ▼



10 W Klubie Dziupla w Czeskim Cieszynie odbyło się przedstawienie *Mały Strazak* w wykonaniu aktorów Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego. Widowisko łączyło rozrywkę z edukacją promując zasady bezpieczeństwa oraz polskie symbole. Głównym bohaterem był Mariuszek, który wędrując z Bochni przez Kraków aż na Wież Mariacką przeżywa liczne przygody. Przedstawienie zrealizowano w ramach projektu dla polskich przedszkoli na Zaolziu, objętego patronatem Kongresu Polaków w Republice Czeskiej.

*** W Muzeum Mazowieckim w Płocku prezentowana jest wystawa *Sztuka a tożsamość. Prace artystów zaolziańskich ze zbiorów Muzeum Historycznego w Bielsku-Białej*. Ekspozycja obejmuje ponad pięćdziesiąt dzieł – w tym obrazy, grafiki, rzeźby i rysunki – autorstwa pionierów zaolziańskiej sztuki (m.in. Gustawa Fierli, Karola Piegzy, Dominika Figurnego) oraz ich następców (m.in. Oskara Pawłasa, Zbigniewa Kubeckiego, Tadeusza Bergera).

12 W Parku Zamkowym w Gnojniku odbyła się gala podsumowująca wojewódzki etap konkursu *Wieś Roku 2025*, w którym Gnojnik zdobył pierwsze miejsce. Drugą nagrodę otrzymały Dzieńmorowice, a trzecią Trzycież. W części artystycznej wystąpił m.in. Zespół Taneczny *Trzanowice*. ▼



12 W parku przy miejscowej szkole podstawowej w Karpętnej odbyła się impreza *Starlight Party*. Wydarzenie rozpoczął dwugodzinny koncert zespołu *Conti-band*, po którym odbyła się dyskoteka pod gwiazdami, prowadzona przez DJ-a Radima. Pomysłodawczynią imprezy była siedemnastoletnia Ola Zmełty z Miejsowego Koła PZKO w Karpętnej. Dla dzieci przygotowano dmuchany zamek, jazdę na kucykach i zabawę z bańkami mydlanymi. Goście mogli skosztować grillowanych dań, domowych ciast i chłodzących napojów. Miejsowe Koło PZKO planuje organizowanie *Starlight Party* jako corocznej imprezy.

12 W ramach ponad 50-letniej współpracy Miejsowego Koła PZKO w Boguminie Skrzeczoniu z Towarzystwem Miłośników Ziemi Grodkowskiej, trzydziścioro członków i sympatyków Koła wzięło udział w wycieczce do Wojsławia, sołectwa Grodkowa. Uczestników przywitani Lucyna i Paweł Gamcarzowie, prowadzący działalność pod nazwą *Alpa Team*, obejmującą alpakterapię, papugarnię oraz warsztaty ceramiczne i tkackie. Goście uczestniczyli w spacerze z alpakami po okolicy, karmieniu różnych gatunków papug, warsztatach ceramicznych (tworząc serduszka lub miseczki z gliny) oraz warsztatach tkackich, podczas których wykonali pamiątkowy, kolorowy szalik.

14 Miejsowe Koło PZKO w Odrzychowicach zorganizowało kolejny warsztat z cyklu *Szykowne odrzychowickie rynce* – tym razem uczestnicy uczyli się spawania w Zespole Szkół Zawodowych Huty Trzynieckiej. Zajęcia poprowadził instruktor René Kajfosh. W wydarzeniu wzięło udział około piętnastu osób.

19 Członkowie i sympatycy ostrawskiego Koła PZKO mieli okazję zwiedzać galerię PLATO (dawną rzeźnię miejską) z komentarzem w języku polskim, prowadzonym przez kuratora Jakuba Adamca oraz artystkę i stażystkę Aleksandrę Skorupkę. W czasie wizyty zapoznali się z historią galerii, otaczającymi ją ogrodami naturalnymi, a także zwiedzili sale wystawowe, bibliotekę, salę wykładową i kawiarnię na parterze.

19-24 Odbyła się XXXIII Piesza Pielgrzymka Zaolzie – Jasna Góra. Ponad setka pątników wyruszyła z Kościoła Najświętszego Serca Pana Jezusa w Czeskim Cieszynie, by w ciągu sześciu dni pokonać pieszo ponad 160 kilometrów i dotrzeć do sanktuarium na Jasnej Górze. Pielgrzymka przebiegała pod hasłem *Uwierzyć nadziei*. Jak co roku wyruszyły też pielgrzymki rowerowa i autokarowa. ▼



20 W Trzyńcu odbył się 18. Przegląd Mniejszości Narodowych, który zgromadził zespoły prezentujące folklor polski, romski, słowacki i grecki. Gośćmi specjalnymi były zespoły polonijne: *Wesołe Babcie* z Moldawii oraz *Wiśła – Grupo Folclórico Polonês do Paraná* z Brazylii. Zaolzie reprezentował Zespół Taneczny *Odrzychowice*. ▼



21 Członkowie Klubu Aktywnego Emeryta przy MK PZKO Gródek odbyli 62 kilometrów rowerową wyprawę z Gródku do ujścia rzeki Olzy. Trasa prowadziła bocznymi drogami przez Trzynec, Karwinę, Darków i Dzieńmorowice. Na odcinku od Karwiny uczestnikom towarzyszył prezes MK PZKO Karwina Darków, Piotr Szuła, pełniący rolę przewodnika. Po dotarciu na miejsce odwiedzili minibrowar *Žabák* w Skrzeczoniu.

26 W Ligotce Kameralnej odbył się Jarmark Ligocki. W programie zaprezentował się Zespół Pieśni i Tańca *Zaolzi*, wykonując tańce z Podhala i Zámutova oraz tradycyjne pieśni z Beskidu Śląskiego. Na jarmarku swoje stoisko prowadziło również Miejsowe Koło PZKO Ligotka Kameralna.

26 W Bystrzycy odbyła się piętnasta edycja *Hawaii Party* organizowanego przez Klub Młodych *Gróń* MK PZKO Bystrzyca. Park PZKO zamienił się w piaszczystą plażę (rozłożono 60 ton piasku). Wydarzenie przyciągnęło ponad tysiąc osób. Na scenie wystąpili lokalni wykonawcy: The Synks, DJ Bodzio oraz DJ Luke High. Z powodu deszczu odwołano część atrakcji dla dzieci, ale udało się przeprowadzić konkurs z nagrodami. ▼



26-29 Na Festiwalu Folkloru Górali Polskich w Żywcu, będącym częścią 62. Tygodnia Kultury Beskidzkiej, Zespół Taneczny *Odrzychowice* zdobył Srebrne Żywieckie Serce. Jurorzy docenili inscenizację historycznego przyjazdu arcyksięcia Rudolfa na Śląsk – za choreografię oraz spójną i sugestywną oprawę sceniczną. Dodatkowo, zespół otrzymał nominację na Międzynarodowy Festiwal Ziem Górskich w Zakopanem, co stanowi kolejny prestiżowy sukces.

27 W Karwinie-Raju odbył się odpust św. Anny połączony z otwarciem nowo wyremontowanego Domu Polskiego. Symbolicznego przecięcia wstęgi dokonali: prezydent Karwiny Jan Wolf, konsul generalny RP w Ostrawie Stanisław Bogowski, wicehetman województwa morawsko-śląskiego Radosław Podstawka oraz wicedyrektor Departamentu Współpracy z Polonią i Polakami za Granicą MSZ Rafał Perl. Pierwszy kawałek tortu odkroiła Małgorzata Michalczuk, naczelniczka Wydziału Dotacji Infrastrukturalnych tego departamentu. W części artystycznej wystąpiły zespoły: *Olzanki*, *Suszanie*, *Ale to już było* z Gorzyc oraz *Dr. Ong*. ▼



28 W Amfiteatrze im. Stanisława Hadyny w Wiśle odbył się *Dzień Zaolzia* w ramach 62. Tygodnia Kultury Beskidzkiej. Na scenie zaprezentowały się zespoły *Gorol*, *Zaolzi* i *Zaolzioczek*, *Bukóń*, *Nowina*, *Polana* oraz *Odrzychowice*. Nagrodę Komitetu Koordynacyjnego festiwalu otrzymał Zespół Taneczny *Odrzychowice*.

28 Na Zaolziu gościli przedstawiciele polskiego MSZ: Rafał Perl i Małgorzata Michalczuk z Departamentu Współpracy z Polonią i Polakami za Granicą, którzy odwiedzili remontowane lub przygotowywane do remontu domy PZKO w Milikowie, Mostach koło Czeskiego Cieszyna, Czeskim Cieszynie i Cierlicku. Towarzyszyli im konsul Stanisław Bogowski.

LISTY: Na Zaolziu i Wileńszczyźnie
Rozmowy o życiu Polaków | 3

ROZMOWA ZWROTU:
Spotecznie zaangażowany analityk.
Rozmowa z Januszem Koniecznym | 4

WYWIAD: Polaków można spotkać
na całym świecie | 8

TOŻSAMOŚĆ ZAOLZIA:
Nasza tożsamość się zmienia,
ale nie znika | 10

PAMIĄTKA RODZINNA:
Wspomnienia ze Starej Karwiny.
Historia rodziny Kaczyńskich | 13

LITERATURA:
Zbigniew Herbert. „Pan Cogito postanowił
wrócić na kamienne łono ojczyzny” | 18
Maria Pawlikowska-Jasnorzewska
Wojna to tylko straszliwy kwiat | 20

FELIETON:
Polski real-time marketing nie działa | 22

NASZE KLUBY:
Klub Kobiet Trzynieć Łyżbice-Wieś | 24

CHÓRY: Ze śpiewem na ustach
i harmonią w sercu | 28

REGION: Spotkanie po latach
Jubileusz 80-lecia pięcioklasówki
w Trzyńcu-Kanadzie | 30

NAUKA POLSKA:
Przed stu laty Maria Skłodowska-Curie
odwiedziła Czechosłowację | 32

SPACER ZWROTU:
Spacerzy Zwrotu z prezesami
miejscowych kół PZKO: Dąrków | 38

REPORTAŻ:
Australia Zachodnia – Piaszki i rekiny | 48

GALERIA ZDJĘĆ:
Korowód 78. Gorolskiego Święta
w obiektywie Joli Iwanuszek.
Jabłonków, 1–3 sierpnia 2025 | 56

KONKURS LITERACKI MIESIĘCZNIKA „ZWROT” 2025

Redakcja miesięcznika „Zwrot” oraz portal www.zwrot.cz zapraszają do udziału w kolejnej edycji **Konkursu Literackiego „Zwrot”**. To wyjątkowa okazja dla twórców, zarówno debiutujących, jak i doświadczonych autorów, by zaprezentować swoje dzieła szerszej publiczności.

KATEGORIE KONKURSOWE:

**Opowiadanie
Wiersz**

ZASADY UCZESTNICTWA:

Prace muszą być napisane w języku polskim. Tematyka jest **dowolna**.

Utwory nie mogą być wcześniej publikowane ani nagradzane.

Każdy uczestnik może zgłosić **jedną pracę w każdej kategorii**.

Teksty należy przesłać **w czterech egzemplarzach**, opatrzone godłem słownym.

Do przesyłki należy dołączyć **zaklejoną kopertę** z tym samym godłem, zawierającą dane autora: **imię, nazwisko, adres e-mail oraz numer telefonu**.

W zgłoszeniu należy umieścić zgodę na publikację: **„Wyrażam zgodę na wykorzystanie i publikację pracy w miesięczniku „Zwrot” oraz w publikacji pokonkursowej.”**

TERMINARZ KONKURSU:

Ogłoszenie konkursu: marzec 2025

Termin nadsyłania prac przedłużono do 31 sierpnia

Ogłoszenie wyników i gala finałowa: październik–listopad 2025

NAGRODY I WYRÓŻNIENIA

Laureaci zostaną zaproszeni na **Koncert Poezji w Czeskim Cieszynie**, podczas którego nastąpi oficjalne ogłoszenie wyników. Fragmenty nagrodzonych tekstów zostaną odczytane przez aktorów **Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego**.

ADRES DO NADSYŁANIA PRAC:

Redakcja miesięcznika „Zwrot”
ul. Strzelnicza 28, 737 01 Czeski Cieszyn
Z dopiskiem: **KONKURS LITERACKI „ZWROT”**

CEL KONKURSU:

Wspieranie i promowanie **polskiej literatury** na Zaolziu.

Upamiętnienie **twórczości Zbigniewa Herberta**.

Zachęcenie młodych autorów do rozwijania swojego talentu.

Publikacja najlepszych tekstów w specjalnym wydawnictwie.

Zapraszamy do udziału w konkursie!
Więcej informacji: www.zwrot.cz



Konsulat Generalny
Rzeczypospolitej Polskiej
w Ostrawie

ČESKÝ TĚŠÍN

zwrot

magazyn regionalny
nr ewidencyjny MK ČR E 389, rok LXXVI, nr 909

Projekt finansowany ze środków Ministerstwa Spraw Zagranicznych w ramach konkursu pn. Polonia i Polacy za granicą 2023 ogłoszonego przez Kancelarię Prezesa Rady Ministrów.

Publikacje wyrażają jedynie poglądy autorów i nie mogą być utożsamiane z oficjalnym stanowiskiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP ani Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie” im. Jana Olszewskiego.

Zadanie współfinansowane ze środków Kancelarii Senatu w ramach sprawowania opieki Senatu Rzeczypospolitej Polskiej nad Polonią i Polakami za granicą w 2025 roku.



Wydawca: Polski Związek Kulturalno-Oświatowy w Republice Czeskiej przy wsparciu finansowym Ministerstwa Kultury Republiki Czeskiej.
IČ 442771, numer konta: 232992221/0300

Redakcja: Halina Szczotka / redaktor naczelny / halina.szczotka@zwrot.cz
Beata Tyrna / redaktor / indi@zwrot.cz
Śárka Michalik / sekretariat / info@zwrot.cz

Administracja redakcji: gmach ZG PZKO, I piętro, ul. Strzelnicza 28, Český Těšín (Czeski Cieszyn), czynna w poniedziałki 8–12 i 13–16, wtorki i środy 8–12

Adres redakcji: ul. Strzelnicza 28, P. O. BOX 97, 737 01 Český Těšín (Czeski Cieszyn)
tel.: 558 711 582 / www.zwrot.cz

Okładka: fot. Marian Siedlaczek / Redakcja obrazu i składu: Studio Matrix

Druk: FINIDR, sp. z o.o. Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca materiałów niezamówionych. Cena zwykłej prenumeraty rocznej 600 Kč, wspierającej min. 1000 Kč, do uiszczenia przekazem pocztowym, przelewem lub bezpośrednio w redakcji. Wysyłka pocztowa na podstawie umowy nr 701 001/02 z Przedsiębiorstwem Państwowym POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

Nakład: 1500 egz. • Cena egzemplarza 50 Kč

Numer zamknięto 18 sierpnia 2025 • ISSN 0139-6277



NA ZAOLZIU I WILEŃSZCZYŹNIE ROZMOWY O ŻYCIU POLAKÓW

Halina Szczotka ze „Zwrotu” i Rajmund Klonowski z „Kuriera Wileńskiego” w swoich listach piszą o tym, jak wygląda życie Polaków na Zaolziu i na Litwie. Co nas łączy, a co różni? Jakie mamy tradycje, z czym się mierzymy na co dzień?



Posłuchaj
podcastu
„Na Zaolziu
i Wileńszczyźnie”

Drogi Rajmundzie,

trudno w kilku zdaniach opisać sierpień na Zaolziu. Nijak ma się on do leniwego lipca. Zaczynamy z przytupem – w pierwszy weekend sierpnia w Jabłonkowie odbywa się Gorolski Święto. W tym roku już po raz 78! Inspiracją do niego stało się przedwojenne Święto Gór organizowane w Wiśle. Pierwsze Gorolskie Święto odbyło się po wojnie, w 1948 roku. Od tego czasu organizowane jest przez miejscowych Polaków corocznie. Zmieniało się miejsce, gdzie je organizowano, jednak nie zmienny pozostaje korowód, który mu towarzyszy. Obecnie wyrusza z rynku w Jabłonkowie, ale pamiętam, jak zespoły i wozy alegoryczne ustawiały się w Nawsiu koło dworca i przechodziły drogą aż do Lasu Miejskiego.

Warto opisać, jak wyglądają takie wozy alegoryczne. Są one przygotowywane przez Miejscowe Koła PZKO. Wszystkie prześcigają się w pomysłach, każdy chce mieć najbardziej oryginalny wóz. Widziałam na wozie całą szkołę z dziećmi, w tym roku były też żywe kury. Są wozy, które przypominają dawne życie na wsi, ale są też wozy jak najbardziej współczesne. Przygotowanie takiego wozu to naprawdę olbrzymia praca wielu ludzi, ale warto. Dzięki nim ten korowód jest rzeczywiście wyjątkowy. Zdjęcia znajdziesz na naszym portalu zwrot.cz. No i nie ma korowodu bez Siwka, czyli konia, który kroczy na jego czele. Kiedyś na koniu jeździł Jura spod Grónia, czyli Władysław Niedoba, ten sam, który zakładał Scenę Polską Teatru Cieszyńskiego.

Przez trzy dni gra w Jabłonkowie góralska muzyka, spotykają się ludzie z całego Zaolzia i nie tylko.

A jak już się uda trochę odpocząć od tego góralskiego świętowania, zaczynają się dożynki organizowane w wielu miejscowościach. W niektórych tradycje te utrzymują Miejscowe Koła PZKO, w niektórych same gminy je organizują. Kilka elementów jednak wszystkie dożynki mają wspólnych – korowód, w którym można oprócz zespołów w strojach ludowych, koni i wozów, spotkać coraz częściej ozdobione maszyny rolnicze.

Obowiązkowym elementem jest też obrządek dożynkowy, najczęściej realizowany przez zespoły ludowe, które wcielają się w rolę żniwiarzy. Przodownicy przekazują gospodarzom dożynek wieniec i chleb dożynkowy. Do dziś zachowały się dawne piosenki towarzyszące obrzędowi. I choć wszędzie po polach jeżdżą już teraz kombajny, mało kto pamięta, co to był snopek, jak stawiano na ściernisku snopki w pańynki, zwyczajnie pozostały.

W mojej pamięci pozostały też smaki związane z dożynkami. I choć w sklepach mamy sporo owoców, również tych tropikalnych, to smak żniwówek, czyli żółtych jabłek jedzonych właśnie podczas żniw, jest niezastąpiony.

Droga Halino,

choć na Litwie sierpień się nazywa „rugpjūtis” – dosłownie, czas żęcia żyta – to dożynki się u nas odbywają przeważnie we wrześniu. Przy czym, odbywają się różnie, zależnie od miejscowości – nie można powiedzieć, żebyśmy mieli jakieś centralne dożynki dla całego regionu. Zresztą, Wileńszczyzna, zależnie od definicji, to region wielkości od 10 do nawet 30 tysięcy kilometrów, którego część historycznych ziem znalazła się w granicach Białorusi – więc tym ciężiej by było zrobić jakieś jedno, centralne, dożynki.

O dożynkach zresztą może więcej będę mógł powiedzieć we wrześniu – ale zawczasu chętni niech sobie zaplanują daty 13 września (dożynki powiatu wileńskiego w Białej Wace) i 15 września (dożynki powiatu solecznickiego w Solecznikach), tak na wypadek, gdyby chcieli się wybrać w te okolice.

Podobnie jest z festiwalami – takich dużych świąt również jest kilka, i większość się odbywa poza sierpniem. W maju jest największy festiwal polskich zespołów piosenki i tańca w Niemenczynie – „Kwiaty Polskie”, zapoczątkowany przez śp. Jana Gabriela Mincewicza jeszcze w 1989 roku. Podobnie wielkim wydarzeniem są urodziny zespołu „Wilia” – największego i najstarszego – w listopadzie. W tym roku obchodzi on 70-lecie, więc świętować też trzeba odpowiednio godnie.

Zbliżanie się jesieni – chociaż ta prawdziwa, złota, zaczyna się dopiero za miesiąc – to zaś nie tylko dożynki na polach (tu, podobnie jak wszędzie, dominują już kombajny, traktory i technika czasem naprawdę imponujących rozmiarów), ale również plony w sadach. I chociaż te były za czasów ostatniej rosyjskiej okupacji szczególnie zajądnie niszczone, to w wielu miejscach przetrwały lokalne odmiany śliwek, wiśni, jabłek, grusz czy pigw, sprawiające wiele radości swoim widokiem, a także dostarczające owoców do jedzenia zarówno na świeżo, jak też do przetworów na resztę roku.

Pod tym względem zaś nowe łączy się ze starym i pojawia się wiele innowacji – owoce liofilizowane, kawałki owoców w miodzie, przecierey, soki czy inne napoje. Bardzo interesującą propozycją ostatniego czasu są niealkoholowe cydry – nie tak słodkie, jak soki czy lemoniady, bardziej wytrawne i orzeźwiające, zwłaszcza na czas upałów.

Powoli – bardzo powoli – wraca do sadów niemal zupełnie wytępiony przez okupantów dereń, więc w przyszłości pewnie i z niego pojawią się różne ciekawe produkty.

Halina

Rajmund Klonowski

zwrot

KURIER
WILEŃSKI

SPOŁECZNIE ZAANGAŻOWANY ANALITYK

ROZMOWA
Z JANUSZEM
KONIECZNYM



ROZMAWIAŁA HALINA SZCZOTKA / ZDJĘCIA: MARIAN SIEDLACZEK

Janusz Konieczny, pochodzący z Wędryni analityk i działacz społeczny, od lat zajmuje się wykrywaniem nieprawidłowości przy wydatkowaniu środków publicznych. W rozmowie ze „Zwrotem” opowiada o pracy w ministerstwie, walce z korupcją, sankcjach wobec Rosji i planach powrotu na Zaolzie.

ZAOLZIE JAKO PUNKT WYJŚCIA

Pochodzisz z Wędryni. Jak wspominasz swoje dzieciństwo i edukację w regionie?

Uczęszczałem do polskiej szkoły podstawowej w Wędryni, która dziś nosi imię Wisławy Szymborskiej. Pamiętam, jak odwiedziła naszą szkołę – wręczałem jej wtedy kwiaty. Doceniam to, że pomimo wielkich osiągnięć zawsze była osobą skromną. Dwujęzyczność była dla mnie bardzo wzbogacająca. Czasami niektórzy rodzice niepotrzebnie się martwią, czy ich dziecko poradzi sobie od najmłodszych lat z polskim i czeskim. Moja kuzynka obecnie mieszka w Niemczech ze swoim partnerem z Portugalii. Obaj rozmawiają ze swoimi dziećmi w języku ojczystym (po polsku i portugalsku) a między sobą po angielsku. Skoro ich dzieci dadzą radę opanować 4 języki, to zdecydowanie dzieci z Zaolzia poradzą sobie z polskim i czeskim.

Jak wspominasz czas spędzony w gimnazjum?

Fantastycznie. Uformował się tam kolektyw ludzi, z którymi do dziś mam kontakt. Spotkaliśmy się ostatnio dwa miesiące temu. Również nauczyciele odegrali dużą rolę w moim rozwoju. To była dobra szkoła, co zrozumiałem zwłaszcza po wyjeździe na studia.

Co masz na myśli?

Poziom nauczania w naszym gimnazjum był bardzo wysoki. W Pradze zorientowałem się, że moi rówieśnicy z innych szkół często nie byli tak dobrze przygotowani. Nie chodzi tylko o wiedzę, ale również o atmosferę i brak problemów wychowawczych, jakich doświadczali inni. Ja na przykład nie spotkałem się w gimnazjum z problemem narkotyków, koledzy z innych szkół mieli zgoła inne doświadczenie.

Temat gimnazjum wraca ostatnio często na łamach mediów w związku z obniżeniem liczby uczniów przyjmowanych do pierwszej klasy. Jaka jest twoja opinia na temat pomysłu ograniczenia liczby uczniów?

Na razie nie mam wyrobionej opinii. Staram się zawsze najpierw zebrać dane, porozmawiać z różnymi osobami, zanim coś ocenię. Dziś ludzie często reagują emocjonalnie, a ja uważam, że czasem lepiej powiedzieć: *Nie wiem*, niż opierać się na domysłach.

Szybkie ocenianie spraw bez sprawdzenia źródeł to szerszy problem.

Zdecydowanie tak. Mamy dziś do czynienia z ogromną ilością informacji – wiele z nich to wiadomości anonimowe, bez wskazania źródła, powielane bez refleksji. Czasem moja mama pokazuje mi coś, co dostała na WhatsAppie, i muszę jej tłumaczyć, że chodzi o dezinformację – np. ostrzeżenie, że emerytom będą zabierane miesz-

kania czy ograniczony dostęp do pomocy zdrowotnej. Celem jest wywołać popłoch i zaangażowane są w to niektóre niedemokratyczne państwa. Trzeba bardzo uważać, skąd czerpiemy wiedzę. W mojej pracy każdą informację muszę być w stanie obronić przed sądem – i to jest dla mnie podstawowe kryterium jej wiarygodności. Jeżeli przygotowałem wiadomość prasową, zwłaszcza na temat korupcji, albo wypowiedź ministrowi, to musiałem być po prostu dokładny. Gdybym nie był ostrożny, to już dawno zostałbym oskarżony.

STUDIA I POCZĄTEK ZAANGAŻOWANIA PUBLICZNEGO

Po gimnazjum wyjechałeś na studia do Pragi. Dlaczego akurat tam?

Studiowałem ekonomię na Wyższej Szkole Ekonomicznej (VŠE) w Pradze. Udało mi się dostać na kilka uczelni – m.in. w Ostrawie, Zlinie i Pradze – ale zdecydowałem się właśnie na VŠE. Tam też mocniej zaangażowałem się społecznie.





W jaki sposób?

W akademiku działała rada studencka, która zajmowała się sprawami codziennego życia – od wyposażenia po organizację wydarzeń. Z czasem zacząłem też wspierać profesorów, których uważałem za kompetentnych. To był początek mojego zainteresowania przejrzystością i uczciwością w instytucjach.

Wspomniałeś kiedyś, że współpracowałeś z ekonomem Tomaszem Sedláčkem, który był też doradcą prezydenta Václava Havla. Jak do tego doszło?

Poznałem go podczas jednego ze spotkań autorskich. Bardzo ceniłem sposób, w jaki potrafił przekazywać skomplikowane treści. Przedstawiłem się mu i zaproponowałem pomoc – tak zostałem jego asystentem. Pomagałem m.in. w tłumaczeniach podczas jego spotkań z polskimi partnerami. Czasem tłumaczyłem bezpośrednio z czeskiego na polski i odwrotnie – co, jak się przekonałem, wcale nie jest takie proste, nawet dla osoby dwujęzycznej. Zwłaszcza gdy pojawiała się specjalistyczna terminologia.

Co wyniósłeś z tej współpracy?

Przed wszystkim nauczyłem się, jak ważne jest budowanie relacji i inicjatywa. Wiele osób czeka, aż ktoś im coś zaproponuje. Ja staram się sam wychodzić z pomysłami i przekonywać innych do współpracy. To podejście bardzo się sprawdziło – właściwie wszystkie kolejne etapy mojej kariery były wynikiem tego, że sam się zgłaszałem i oferowałem swoją pomoc. Nie szukałem pracy przez portale rekrutacyjne – zamiast

tego przekonywałem ludzi do współpracy ze mną. Myślę, że to dobra droga, zwłaszcza w dziedzinach, które wymagają zaufania i zaangażowania społecznego.

ANTYKORUPCJA JAKO MISJA ZAWODOWA

Wspomniałeś, że twoje zaangażowanie społeczne przerodziło się w pracę zawodową. Od czego zaczęła się twoja droga w walce z korupcją?

Moim pierwszym dłuższym doświadczeniem była praca w organizacji pozarządowej *Nadační fond proti korupci*. Spędziłem tam siedem lat jako analityk. Zajmowałem się badaniem przypadków konfliktu interesów, nieprawidłowości w zamówieniach publicznych, analizą przepływów finansowych i tym podobnymi sprawami. Było to niezwykle cenne – nie tylko pod względem zawodowym, ale i osobistym.

Czym zajmowałeś się po pracy w funduszu?

Przeszedłem jako analityk do Izby Poselskiej a później do Ministerstwa Rozwoju Regionalnego, gdzie kontynuowałem działania związane z przejrzystością finansów publicznych. Odpowiadałem m.in. za zamówienia publiczne, różne reformy, a także za wdrażanie sankcji wobec Rosji po agresji na Ukrainę. Musiałem zadbać o to, by nie dochodziło do nadużyć w samym ministerstwie. Musiałem z jednej strony trzymać się procedur, z drugiej być w stałym kontakcie z urzędnikami, by budować zaufanie i monitorować, gdzie mogą występować zagrożenia.

Jakie były największe wyzwania w pracy w ministerstwie?

Najtrudniejsze było zidentyfikowanie obszarów, w których panowały patologie. Czasami miałem wrażenie, że jestem jak lekarz, który diagnozuje chore miejsce i próbuje zastosować terapię. Jednym z wyzwań była też walka z tzw. omijaniem sankcji – firmy potrafiły maskować strukturę właścicielską, a powiązania prowadziły przez Panamę czy inne raje podatkowe. To wymagało żmudnej analizy, czasem we współpracy z dziennikarzami śledczymi lub specjalistami z zagranicy.

Pracując w ministerstwie, zajmowałeś się również sankcjami wobec Rosji. Jak wyglądało to w praktyce?

Sankcje to nie tylko hasło polityczne – to bardzo konkretne narzędzie, które wymaga skutecznego wdrożenia. Czasem było tak, że na papierze wszystko wyglądało dobrze, ale w rzeczywistości firmy obchodziły przepisy, tworząc skomplikowane struktury właścicielskie lub wykorzystując pośredników. Naszym zadaniem było identyfikowanie takich przypadków i tworzenie rozwiązań, które pozwalałyby je blokować.

Czy sankcje wobec Rosji są skuteczne, czy raczej często obchodzone?

Są obchodzone. Oczywiście istnieje wiele ścieżek, jak je obejść. Miałem taki przypadek, że dziennikarze z Rosji, którzy musieli szybko uciec z kraju, mieli kontakty w Czechach, na Uniwersytecie Karola. No i moi znajomi z tego uniwersytetu skierowali ich do mnie i razem analizowaliśmy konkretne przypadki. Na przykład właściciel firmy w Czechach współpracował z rosyjskim Ministerstwem Obrony. Udało nam się to zmapować i udokumentować.

Jak oceniasz przygotowanie czeskiej administracji do takich działań?

Powiedziałbym, że jest lepiej niż kilka lat temu, ale nadal mamy dużo do zrobienia. Brakuje narzędzi, zwłaszcza dla urzędników samorządowych, którzy często nie mają wsparcia przy podejmowaniu decyzji o zamówieniach publicznych. Dlatego apelowaliśmy o stworzenie aplikacji, które



pozwalaby weryfikować powiązania kapitałowe kontrahentów czy sprawdzać listy sankcyjne. To nie rozwiązuje wszystkich problemów, ale może znacząco ograniczyć ryzyko nieświadomej współpracy z podmiotami powiązanymi z Rosją.

PRACA W IZBIE POSELSKIEJ I KONFLIKT INTERESÓW

Obecnie pracujesz w Izbie Poselskiej. Czym się tam zajmujesz?

Tak, pracuję w Izbie Poselskiej. Jednym z tematów, którymi się zajmuję, są zmiany legislacyjne, ale większość czasu poświęcam na analizowanie różnych podejrzanych przypadków. Współpracujemy z policją, z prokuraturą, czasem uczestniczę w procesach sądowych. Bardzo ważne jest, by mieć motywację do kontynuowania tej pracy, zwłaszcza gdy sprawa nie jest jeszcze zakończona. Nawet jeśli jestem przekonany, że ktoś dopuścił się czegoś nielegalnego, zawsze trzeba wychodzić od do-

wodów – tego, co uda się zgromadzić i jak sąd to oceni.

Czyli wciąż zajmujesz się przypadkami korupcyjnymi?

Oczywiście. Często są to sprawy poważne. Przykładem jest temat konfliktu interesów byłego premiera Andreja Babiša. To sytuacja dość oczywista – nikt nie powinien być jednocześnie premierem i właścicielem ogromnego koncernu, który otrzymuje miliardowe dotacje i zamówienia publiczne. W czasie jego rządów Agrofert otrzymał łącznie 20 miliardów koron z dotacji i zamówień – 7,5 miliarda z dotacji, reszta z przetargów.

Czeskie prawo tego zabrania.

Tak, od 2017 roku obowiązuje zasada, że spółka należąca do członka rządu nie może otrzymywać dotacji ani zamówień publicznych. Ta zasada była łamana. Komisja Euro-

pejska stwierdziła, że to konflikt interesów, podobnie jak czeskie sądy – już sześć razy uznały te dotacje za niezgodne z prawem. Potwierdził to także Trybunał Konstytucyjny. Problem w tym, że czeskie urzędy zajęły się tylko niewielkim fragmentem spraw – tym, który był zawarty w audycie KE. A ta zasada dotyczy wszystkich dotacji.

Jakie są skutki finansowe takich nadużyć?

Oszacowałem, że Agrofert powinien zwrócić około 10 miliardów koron – w przypadku dotacji całą kwotę, w przypadku zamówień tylko część. Na szczęście już niektóre ministerstwa zajęły się egzekwowaniem tych środków.

Czy widzisz w tym szerszy problem systemowy?

Tak. To nie dotyczy tylko jednej osoby. Różne grupy finansowe i lobbystyczne potrafią znaleźć ścieżki, by uzyskać decyzje korzystne dla siebie, ale szkodliwe dla interesu publicznego. I to jest coś, z czym staramy się walczyć.

PLANY POWROTU NA ZAOLZIE

Na koniec jeszcze chciałabym wrócić do tematów bardziej lokalnych. Coraz częściej mówi się o tym, że młodzież z Zaolzia wyjeżdża na studia i nie wraca już tutaj. Ty też od lat mieszkasz w Pradze. Myślisz może o powrocie?

Chcę wrócić, zdecydowanie. To jest oczywiście decyzja, którą podejmujemy wspólnie z moją partnerką. Wiele moich koleżanek i kolegów z klasy zostało w Pradze albo wyjechało gdzieś indziej. Uważam, że powinniśmy z nimi rozmawiać i dowiedzieć się, dlaczego podejmują takie decyzje, a nie inne. Pokazać im, jakie są możliwości. Zapytać, co ich zatrzymuje, co skłoniłoby ich do powrotu. Wielu z nich stara się mówić z dziećmi po polsku. Niektórzy posyłają dzieci na zajęcia do Instytutu Polskiego w Pradze. Jest też szkoła polska w Pradze, wiem, że część osób z Zaolzia też tam posyła dzieci. Uważam, że powinniśmy nie tylko zachęcać młodych do powrotu, ale też tworzyć warunki do tego, by mogli pielęgnować język polski i kulturę – nawet jeśli na razie żyją w Pradze czy Brnie.



POLAKÓW MOŻNA SPOTKAĆ NA CAŁYM ŚWIECIE

ROZMAWIA: IZABELA WACLAWKOVÁ / ZDJĘCIE: ARCH. TVP

Choć od zawsze mieszka w Polsce, zna Polaków niemal z całego świata. Dzięki pracy w redakcji TVP Polonia poznała wielu ludzi z bogatym bagażem przygód. – *Zdarzyło mi się poznać Polkę z Łotwy, która pierwszy raz przyjechała do Polski i poznała mnie, oglądała moje materiały w telewizji w programie „Polonia 24”* – opowiada dziennikarka Patrycja Hacia.

Jak trafiłaś do TVP Polonia?

Trafiłam trochę przez przypadek, trochę z przeznaczenia, jak to zwykle bywa w dobrych historiach. To było dokładnie dziesięć lat temu. Tuż przed sierpniowym świętem Wojska Polskiego. Wpadłam na chwilę, żeby zobaczyć, jak to jest w telewizji. Byłam wtedy na studiach na Uniwersytecie Warszawskim.

Jak długo byłaś na stażu w Telewizji Polskiej, zanim zaczęłaś tam pracować?

Zaczęłam od dwutygodniowej próby i „podpatrywania” reporterów jak pracują, jak wygląda „życie” redakcji. Zaczynałam jako asystent reportera, z mikrofonem w jednej ręce i notatnikiem w drugiej, biegając za kulisami wydarzeń. Przez rok uczyłam się od najlepszych, jak patrzeć, żeby zobaczyć więcej i jak słuchać, żeby usłyszeć to, co naprawdę ważne. A potem przyszedł moment, kiedy to ja stanęłam po drugiej stronie, z własnym pomysłem, pytaniami i odpowiedzialnością za całą

historię. Pierwsze autorskie nagranie było jak skok na głęboką wodę, ale właśnie tam nauczyłam się pływać. I dziś przygotowuję autorskie materiały.

Jak wyjaśniłabyś komuś czym jest TVP Polonia?

To taki telewizyjny list w butelce, który płynie z Polski do Polaków na całym świecie. I nie jest to zwykły list, raczej paczka z kawałkiem ojczyzny: trochę muzyki, trochę historii, sporo uśmiechu i szczypta nostalgii. TVP Polonia to program tworzony z myślą o Polakach i dla Polaków rozśianych po całym świecie.

Więc chodzi o jeden z programów Telewizji Polskiej?

TVP Polonia to antena Telewizji Polskiej – tak jak TVP1, TVP INFO czy TVP KULTURA. TVP ma 19 kanałów tematycznych i Polonia jest jednym z nich. Ma swoje autorskie programy, jednym z nich jest program „Polonia 24. Tygodnik” (kiedyś – „Polonia 24” – emitowany od poniedziałku do piątku, czasem od poniedziałku do niedzieli). Pokazuje najważniejsze i najciekawsze wiadomości dedykowane Polonii i Polakom mieszkającym za granicą, ale chętnie oglądają je także ci, którzy są w kraju.

Jaka jest redakcja TVP Polonia? Ile osób w niej pracuje?

Jaka jest redakcja TVP Polonia? Ile osób w niej pracuje?

Kiedyś redakcja magazynu „Polonia 24” liczyła około trzydziestu osób. Wtedy była ona tak zwanym dziennikiem. Dziś w związku z tym, że nie jest emitowana codziennie i stała się cotygodniowym magazynem, pracuje w niej znacznie mniej osób. Dokładnie jest ich osiem. Są to reporterzy, wydawcy i prowadzący.

Jak wyglądała Twoja codzienna praca?

Wygląda jak podróż bez walizek. Rano zaczynasz w Warszawie, a po południu jesteś myślami w Chicago, Londynie albo

na Kamczatce, bo rozmawiasz z kimś, kto właśnie tam trzyma polską tradycję przy życiu. Tyle że zamiast paszportu mam mikrofon i kamerę. Dzięki internetowi świat stał się dostępny i możemy dotrzeć wszędzie tam, gdzie słychać język polski. Bez względu na kilometry.

Czy polonijni dziennikarze przesyłali Ci gotowe materiały, surowe nagrania, czy realizowali tematy według Twoich wskazówek?

Polonijni dziennikarze wysyłają nam tylko „surówkę”. Zanim jednak pojechali na zdjęcia rozmawiałam z nimi o tym, czego od nich potrzebuję. Przedstawiałam swoje pomysły na zdjęcia, mówiłam jakie mogą zadać pytania rozmówcom. Są dla nas „korespondentami”, którzy przygotowują dla nas zdjęcia i wywiady tam na miejscu, a my piszemy tu tekst w Warszawie i tu go montujemy.

Z ilu ośrodkami lub krajami współpracuje TVP Polonia?

Niemal ze wszystkimi. Jeśli na świecie jest Polak, to prędzej czy później do niego dotrzemy. A tak na poważnie, Telewizja Polska ma oficjalnych korespondentów: w USA, Niemczech, Francji czy na Ukrainie. Ale my w TVP Polonia mamy jeszcze naszych „polonijnych korespondentów”. Są nimi dziennikarze polonijni, którzy mieszkają i żyją poza granicami kraju, ale ich pasją jest dziennikarstwo.

Jak można zostać korespondentem TVP Polonia?

By współpracować z TVP Polonia, trzeba napisać do dyrekcji TVP Polonia i zaproponować swój udział w tworzeniu materiałów, albo współpracy z Tygodnikiem. To do nich należy najważniejsza decyzja.

Jakiego typu tematy przygotowywałaś?

Od historii Polaków, którzy w Kurytybie oddalonej o ponad jedenaście tysięcy kilometrów od Polski kultywują polskie tradycje, przez reportaże o filmowcach, którzy wyjechali do Toronto by pokazać swoje dzieło na festiwalu, aż po rozmowy z uczniami polskich szkół, którzy choć nie byli nigdy w Polsce to czują się Polakami.

W skrócie wszystko, co pachnie kulturą, ludźmi i ich pięknymi opowieściami.

Dla jakiego rodzaju widza jest tworzony program TVP Polonia?

Dla każdego, kto czuje w sercu choćby ziarenko polskości. I nie ważne, czy to ktoś, kto codziennie je pierogi, czy mieszka na innym kontynencie. Każdy z programów TVP Polonia jest robiony z myślą o Polonii i Polakach mieszkających za granicą.

Czy miałaś kontakt z odbiorcami mieszkającymi za granicą?

Oczywiście! Często dostaję wiadomości od bohaterów moich reportaży, że oglądali go z rodziną i cieszą się, że mogli być częścią programu. Zdarzyło mi się poznać Polkę z Łotwy, która pierwszy raz przyjechała do Polski i poznała mnie, bo oglądała moje materiały w telewizji w programie „Polonia 24”.

Czy odczuwałaś różnice między Polakami żyjącymi w różnych zakątkach świata?

Polacy na wschodzie i na zachodzie dzielą dziś wspólne korzenie, ale ich drogi rozeszły się wraz z przesunięciem granic i burzliwymi zmianami politycznymi. Jedni zostali tam, gdzie od pokoleń stały ich rodzinne domy, inni zaczęli życie od nowa na ziemiach, które dopiero uczyli się nazywać swoim miejscem. Mówią czasem z innym akcentem, mają inne wspomnienia z dzieciństwa, ale gdy rozmawiają o Polsce, to w oczach pojawia się ten sam blask. Łączy ich ta sama tęsknota i miłość do ojczyzny, która nie zna granic na mapie. Dlatego tak – różnice są ogromne. Inaczej rozmawia się z Polonią na zachodzie, a inaczej rozmawia się z Polakami, którzy mieszkają na wschodzie.

Czego nauczyłaś się podczas tej pracy?

Że historia każdego człowieka to mały film dokumentalny, trzeba tylko nacisnąć „play”. I że można znaleźć bohatera nawet w miejscu, gdzie wydaje się, że nic się nie dzieje. A każdy dzień to zupełnie inna historia, odkrywanie świata. Na nowo. Dzięki tej pracy mogę odwiedzać miejsca, które nie są na co dzień dostępne.

Jak ta praca wpłynęła na Twoje dalsze plany zawodowe?

Sprawiła, że każdego dnia szukam historii, a one są wszędzie. Od sąsiedniego bloku po koło podbiegunowe. Gdy rozmawiam z kimś, poznaję nowe osoby lub słyszę o wartościowych rzeczach, od razu myślę o tym, czy ta historia nie jest warta tego, by dowiedzieć się o niej świat za pośrednictwem mediów.

Teraz spotykam Cię w redakcji programu 14.30. Czym różniła się praca w TVP Polonia od pracy w serwisie informacyjnym 14.30?

TVP 14.30 to codzienny serwis. Ze świeżą porcją tak zwanych „newsów”. W TVP 14.30 liczy się szybkość, tu są newsy z kraju, tu i teraz, bez chwili na oddech. To program dla widzów, którzy chcą wiedzieć, co właśnie wydarzyło się dziś w Polsce – w ich mieście, regionie czy województwie.

Na czym tutaj polega twoja praca?

W 14.30 pracuje od początku stworzenia tego programu. Nazywanego przez nas „młodsza siostra 19.30”, czyli głównego i flagowego dziennika informacyjnego na antenach Telewizji Polskiej. Praca w programie informacyjnym, który trzeba przygotować na 14.30, to prawdziwe wyścigi z czasem. Każdy dzień to nowe fakty, zmieniające się sytuacje i konieczność szybkich decyzji. Bywa to wyzwaniem, ale właśnie ta dynamika sprawia, że żaden dzień nie jest taki sam. I zdecydowanie – nie jest nudny. Do tego mamy fantastyczny zespół ludzi, którzy wspierają się nawzajem i potrafią działać jak dobrze zgrana maszyna, nawet w największym pośpiechu.

Nie kusilo cię, żeby przejść do redakcji zagranicznej zamiast do redakcji 14.30? Wydaje mi się, że TVP Polonia jest bardziej zbliżona tematycznie do zagranicy.

Redakcja zagraniczna to zdecydowanie historie o obcokrajowcach, a TVP Polonia o Polsce i polskich sprawach (także poza jej granicami). Bliskie są mi historie Rodaków – i tu w kraju, gdy opowiadam o nich w 14.30, jak i w „Polonia 24”.



NASZA TOŻSAMOŚĆ SIĘ ZMIENIA, ALE NIE ZNIKA

ROZMAWIA: FILIP TOMANEK / ZDJĘCIA: MARIAN SIEDLACZEK, WIESŁAW PRZECZEK

Z Heleną Legowicz, prezes Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Republice Czeskiej, rozmawiamy o przemianach tożsamości polskiej społeczności na Zaolziu, wyzwaniach stojących przed szkołami i organizacjami, roli języka i mediów, oraz o tym, co sprawiło, że poświęciła życie działalności społecznej.

Jak Pani ocenia obecny stan polskiej mniejszości na Zaolziu w porównaniu z czasami, gdy dołączyła Pani do PZKO?

Do PZKO należę od końca lat 60., od czasu, gdy miałam 15 lat. Wówczas angażowałam się w działalność Klubu Młodych i zespołu tanecznego w Olbrachcicach. Trudno porównać tamten czas z obecnym – wtedy byłam nastolatką. Dziś nadal w wielu miejscowych kołach działają zespoły i kluby młodzieżowe. PZKO wciąż pozostaje centrum życia społeczno-kulturalnego naszej społeczności.

Jakie znaczenie miały wydarzenia XX wieku dla polskiej społeczności?

Podział Śląska Cieszyńskiego w 1920 roku był punktem zwrotnym – społeczność po tej stronie Olzy była bardzo aktywna w zachowaniu swojej tożsamości. Po wojnie, szczególnie po 1948 r., kiedy władzę przejęli komuniści, uniemożliwiono działania innych organizacji i wszystko skupiło się w PZKO. Organizacja kontynuowała działalność, ale równocześnie narastała presja asymilacyjna – również wewnętrzna. Sami

wykluczaliśmy osoby z mieszanych małżeństw, zamiast je integrować.

Czy widać różnicę w podejściu do tożsamości między pokoleniami?

Zdecydowanie. Starsze pokolenia są bardziej przywiązane do polskości. Po 1989 roku młodzież zyskała większe możliwości podróżowania i wyboru. Dla wielu dziś narodowość nie jest tak istotna, jak kiedyś.

Dlaczego o tym rozmawiamy?

Polskość na Zaolziu nie znika z dnia na dzień – raczej zmienia rytm. W statystykach widać spadki, ale za liczbami stoją szkoły, domy PZKO, język i wybory młodych. Dlatego pytam nie tylko o deklaracje, lecz o praktyki wspólnoty: co dziś naprawdę działa, co jeszcze łączy. O organizacji, która od dekad spina te światy, rozmawiamy z Heleną Legowicz, prezes PZKO. Pytanie prowadzące pozostaje to samo: czy polska społeczność naprawdę wymiera, czy po prostu szuka nowej formy?

O PROJEKCIE

Aby zobaczyć, gdzie biegną granice wspólnoty i gdzie przesuwają się szanse, przygotowałam cykl publicystycznych wywiadów publikowanych na łamach „Zwrotu” w ramach produktowej pracy licencjackiej na kierunku Dziennikarstwo i Medioznawstwo FSS MU w Brnie. Każda rozmowa to inny punkt widzenia; razem układają się w współczesny obraz polskiej mniejszości na Zaolziu.

ZAPROSZENIE

Nie szukam łatwych odpowiedzi. Chcę zrozumieć, co łączy ludzi: nowoczesna szkoła, dom PZKO po remoncie, media między papierem a pikselami, gwara „po naszymu”. Czy umiemy zostawić młodym przestrzeń i uczynić polskość codzienną, wygodną w użyciu – taką, do której chce się wracać? Zapraszam do lektury i rozmowy o przyszłości naszej wspólnoty.

Filip Tomanek

Jakie są największe wyzwania dla polskich szkół na Zaolziu?

Muszą być nowoczesne i oferować wysoki poziom nauczania. To się dzieje – przyciągają dzieci nie tylko z polskich rodzin, ale też z mieszanych. Liczy się nie tylko edukacja, ale i otoczek – współpraca z Macierzą Szkolną, środowisko rodziców, więzi. Dzięki temu szkoły stają się ważnym ośrodkiem wspólnotowym.

Liczba uczniów jednak spada. Dlaczego?

Największy spadek miał miejsce w latach 70. Obecnie liczba uczniów utrzymuje się na poziomie około 2000. Przykładem pozytywnych zmian jest szkoła w Olbrachciach, gdzie liczba uczniów wzrosła z dziegięciu do ponad trzydziestu.

Jak PZKO współpracuje z innymi organizacjami polskiej mniejszości?

Wiele kół lokalnych ściśle współpracuje z kołami Macierzy Szkolnej. Przyszłość PZKO zależy od tej współpracy – społeczność związana ze szkołą naturalnie przechodzi potem do działalności w kole. Po 1989 roku wiele dawnych sekcji PZKO działa już jako samodzielne organizacje, np. Stowarzyszenie Przyjaciół Polskiej Książki czy Beskid Śląski. PZKO wspiera i koordynuje współpracę – na przykład remont siedziby głównej ma na celu stworzenie wspólnej przestrzeni dla wszystkich organizacji.

Jak przyciągnąć młodzież do działalności w PZKO?

Potrzebni są liderzy, którzy potrafią wokół siebie zgromadzić ludzi. Młodzi powinni przejmować odpowiedzialność, ale też mieć przestrzeń do wprowadzania własnych pomysłów – bez presji, by powielać dawne wzory. Muszą mieć prawo do popełniania błędów i uczenia się.

Dlaczego spada liczba osób deklarujących narodowość polską w spisach?

Podanie narodowości nie jest obowiązkowe. Ludzie częściej szukają swojego miejsca w świecie niż przynależności do jednej grupy. To wynik globalnych zmian i otwartości na świat. Zamiast skupiać się na liczbach, ważniejsze jest, by nasza oferta była atrakcyjna i odpowiadała potrzebom ludzi.

Czy PZKO podejmuje działania na rzecz ochrony gwary?

Martwi mnie, że gwara w codziennym użyciu, szczególnie wśród młodzieży, jest zniekształcana. Sama przełączam się na gwara w zależności od rozmówcy. W domu mówimy po polsku, bo mój mąż nie używa gwary. Gwara przetrwa dzięki wydarzeniom kulturalnym, zespołom folklorystycznym, przeglądowi literatury.

Jaką rolę odgrywa język w kształtowaniu tożsamości?

Ogromną. Gwara podkreśla lokalność, ale język literacki jest konieczny w edukacji i komunikacji. Dzieci często boją się mówić po polsku. Dlatego ważne są wyjazdy do Polski, spotkania z autorami, kontakt z literaturą. Trzeba dzieci przyzwyczajać, że mówienie z błędami nie jest powodem do wstydu.



Jakie znaczenie mają media mniejszościowe, takie jak Głos czy Zwrot?

Bardzo duże, ale musimy być świadomi, że media papierowe tracą znaczenie. Prenumerata spada, zwłaszcza w Głosie. Zwrot i Głos rozwijają się online. Dla starszego pokolenia papier nadal jest ważny, ale przyszłość to media cyfrowe. Bez wsparcia z Polski i Czech te tytuły nie mogłyby funkcjonować.

Czy ta sytuacja Panią niepokoi?

Tak, ale to światowy trend. Musimy trzymać rękę na pulsie i rozwijać nowoczesne formy komunikacji, dopóki media papierowe są potrzebne, trzeba je utrzymywać. Musimy jednak pogodzić się z tym, że ich czas dobiega końca.

Jak wygląda współpraca z instytucjami w Polsce i Czechach?

Współpraca z Polską funkcjonuje głównie poprzez koła lokalne, które kontaktują się z gminami po drugiej stronie Olzy. Zespoły wyjeżdżają, dzieci uczestniczą w koloniach. Polska wspiera nas finansowo i programowo – szczególnie szkolnictwo. W Czechach samorządy często korzystają z domów PZKO, traktując je jak inne organizacje lokalne. Rada Narodowości i Ministerstwo Kultury oferują dotacje, choć ich poziom mógłby być wyższy, zwłaszcza biorąc pod uwagę inflację.

Co skłoniło Panią do zaangażowania w działalność społeczną?

To kwestia tradycji rodzinnej – moi rodzice i dziadkowie byli aktywni. Społecznictwo mam we krwi. Kiedy zdecydowałam się kandydować na prezesa PZKO, zapytałam męża o zgodę – odpowiedział: „Ty bez tego nie potrafisz żyć”.

Jakie są Pani najważniejsze osiągnięcia?

Największym osiągnięciem jest praca w Stowarzyszeniu Przyjaciół Polskiej Książki i w bibliotece. Staramy się utrzymać obecność książki w życiu naszej społeczności. W PZKO moim celem jest ukończenie remontu siedziby przy ul. Strzelni-



czej, by stworzyć wspólne miejsce dla wszystkich organizacji.

Jak można zatrzymać spadek liczby osób identyfikujących się jako Polacy?

Nie zmuszać do deklaracji, ale tworzyć interesującą ofertę – w szkołach, domach PZKO, teatrze. Liczy się frekwencja – jeśli na wydarzeniu jest 300 osób, to znaczy, że robimy coś dobrze.

Co mogą zrobić polskie i czeskie instytucje, by skutecznie wspierać mniejszość?

Największym wyzwaniem jest infrastruktura. Potrzebujemy środków na remonty domów PZKO, które są kluczowe dla naszej działalności. Niestety, trudno jest zdobyć wsparcie na inwestycje – programy dotacyjne preferują projekty „miękkie”. Musimy uczyć się szukać środków także tam, gdzie nie są oczywiste.



Bogumił Kaczyński (z prawej) w samochodzie dostawczym browaru w Karwinie.

WSPOMNIENIA ZE STAREJ KARWINY

HISTORIA RODZINY KACZYŃSKICH

TEKST I ZDJĘCIA: SYLWIA GRUDZIŃ; PAMIĄTKI RODZINNE Z DOMU EVALDA KACZYŃSKIEGO

W tym miesiącu zapraszamy naszych Czytelników do pana Evalda Kaczyńskiego z Karwiny, który posiada wyjątkowe pamiątki rodzinne związane z nieistniejącym już browarem w Karwinie.

Choć pan Evald urodził się w 1943 roku w Stonawie, gdzie zamieszkali jego rodzice po ślubie, cała jego rodzina pochodziła ze Starej Karwiny. Oboje rodzice – Bogumił Kaczyński i Emilia Kaczyńska z domu Recmanik przyszli na świat na początku XX wieku w Starej Karwinie – ojciec w domu pod numerem 123, matka w nieistniejącej już kolonii górniczej

przy kopalni Henryk w Starej Karwinie. – Dziadek ze strony mamy robił na szachcie Honegger. Był sztygarem. Pamiętam, jak opowiadała mi moja mama, że mieszkała z rodzicami w domu, który kiedyś był gospodą żydowską – pod numerem 445, zaraz obok był piekarnik Zawila. Jak górnicy szli ze szachty, to przepijali w tej gospodzie pieniądze, z tego powodu w tej

chatupie straszło – słychać było narzekanie. Dziadkowie musieli wezwać księdza, który odprawił w tym domu jakieś egzorcyzmy i potem był już spokój. Jeszcze pamiętam, jak mi mama opowiadała, że koto ich domu droga wiodła w górę na hałdę, więc koto ich domu musiano zawsze zawiązać oczy koniowi, żeby ten jechał dalej.



Etykiety z piwa z Browaru i Słodowni Dra Jana Hr. Larischa-Mönnicha w Karwinie, okres międzywojenny.

PRACA U HRABIEGO LARISCHA

Mama pana Evalda miała liczne rodzeństwo – dwie siostry i brata. Jej brat, Henryk Recmanik, pracował jako szofer u hrabiego Jana Larischa-Mönnicha z Karwiny Solcy.

Z tego czasu zachowało się pełne uroku – szczególnie dla miłośników motoryzacji – zdjęcie z lat 20. lub początku lat 30., przedstawiające Henryka pozującego w limuzynie, za kierownicą, prawdopodobnie na tle bramy browaru.

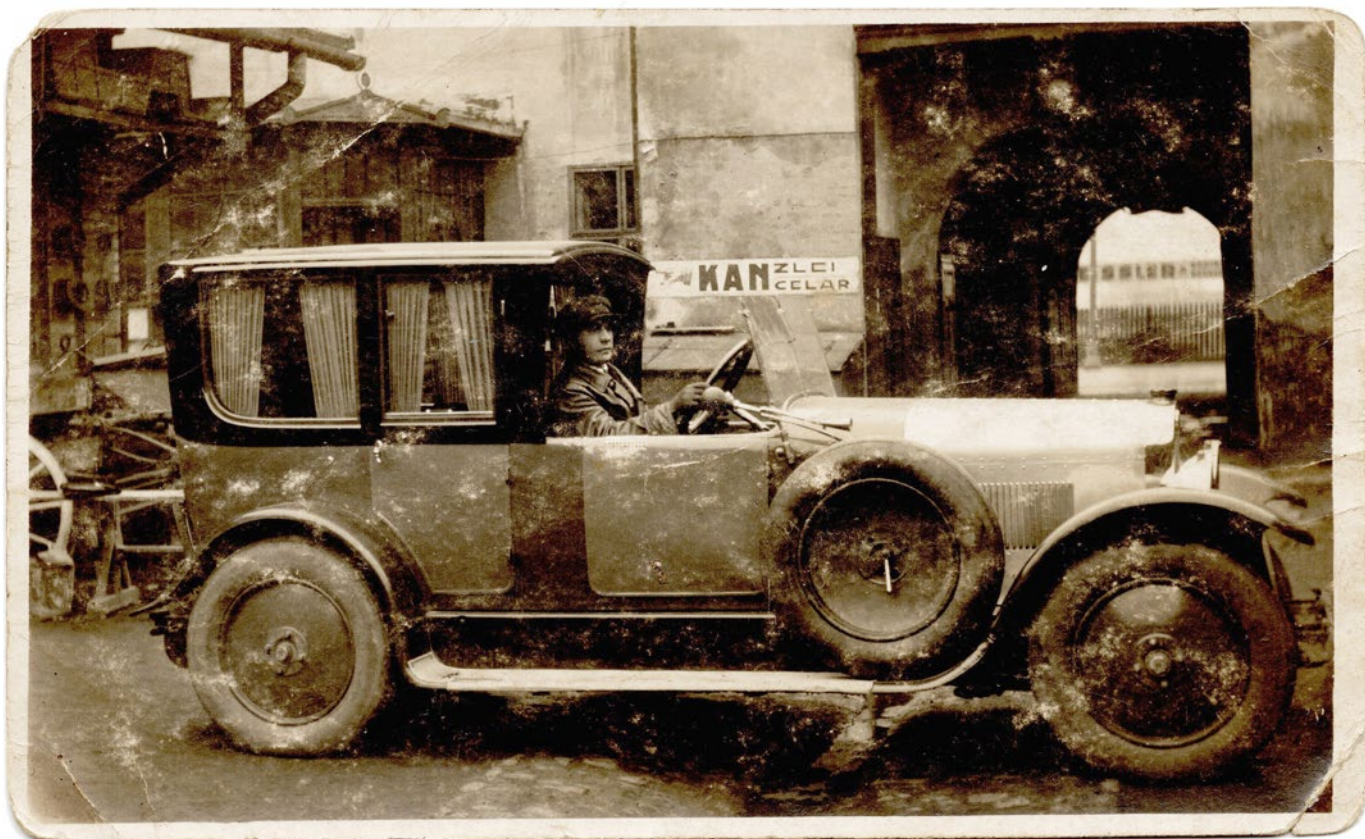
Mama pana Evalda była mężatką dwukrotnie. Jej pierwszy mąż zmarł po dwóch

latach małżeństwa. Potem wyszła za mąż po raz drugi i z tego małżeństwa urodził się długo wyczekiwany syn. – *Mama była już wtedy po trzydziestce. Rodzeństwa nie miałem. Byłem wymodlonym dzieckiem* – śmieje się pan Evald.

Bogumił Kaczyński pracował w karwińskim browarze, który podobnie jak kopalnia, należał do rodu Larischów. Ten nowoczesny, przemysłowy zakład powstał w 1860 roku i od początku imponował zastosowaniem najnowszych technologii: parowych kotłów, pomp czy systemów chłodniczych. Na przełomie XIX i XX wieku browar prze-

szedł kilka modernizacji, dostosowując się do rosnącego zapotrzebowania. Pracowało w nim na dwie zmiany ponad sto osób. Produkowano tu piwo, które trafiało na eksport – na Śląsk, Węgry, do Galicji, a także na Morawy. W czasach I Republiki browar nosił nazwy w trzech językach: czeskim, niemieckim i polskim, odzwierciedlając zróżnicowany charakter regionu.

Nawet podczas okupacji, mimo trudności z dostępem do surowców, produkcja nie ustawała. Po wojnie browar został znacjonalizowany na mocy dekretów Beneša. W 1952 roku osiągnął rekordową produk-



Henryk Recmanik w roli szofera hrabiego Larischa, ok. 1920–1930.

Č. 12630 ex 1936.

Vysvědčení způsobilosti.

Bohumil K a c z y ŋ s k í narozený v **Karvinné**
 ve **Slezsku** dne **16. července** **1909**
 prokázav, že po **šest** měsících byl prakticky zaměstnán při
 ležatém dvouplamencovém parním kotli o 80 m² výhř. plochy
 fy: **Larisch-Mönnichův pivovar a sladovna v Karvinné**
 , podrobil se dne **19. března** **1936**
 zkoušce, předepsané ministerským nařízením ze dne 15. července 1891 (Ř. Z.
 č. 108) a prohlašuje se tímto na základě výsledku její za „velmi dobře“
 způsobilého ku samostatné obsluze parních kotlů.

Tomu na svědectví vlastnoruční podpis zkušební komisaře a otisk pečeti:

V **Čes. Těšíně** dne **1. dubna** **1936.**

Vidí:
 Ředitelství společnosti pro zkoušky
 a vyšetřování parních kotlů ~~uvážejem pojištění~~
 v Praze.
Jos. Lulek

úředně opr. zkušební komisař
Čes. Těšíně.
Jos. Fera Straube.

Vysvědčení způsobilosti – svědectwo zdania egzaminu na palcaz kotłów w Browarze i Słodowni dra Jana hr. Larischa-Mönnicha w Karwinie, wystawione 16 marca 1936 roku dla Bogumiła Kaczyńskiego.

cję – aż 175 000 hektolitrów piwa, ale niestety już rok później podjęto decyzję o jego likwidacji. Przyczyną było podmywanie terenu przez kopalnię Gabriela – budynki zaczęły się zapadać, a w maju uwarzono ostatnią partię piwa. Niedługo potem zakład został rozebrany, a sprzęt rozdzielono pomiędzy inne browary.

Karwiński browar był jednym z największych i najnowocześniejszych w Czechach, a jego upadek stał się impulsem do budowy nowego browaru w Noszowicach.

GARŚĆ WSPOMNIENÍ O BROWARZE

– Tata pracował w karwińskim browarze już przed wojną – opowiada pan Evald. – Najpierw był kierowcą, rozwoził beczki z piwem, a potem przeszedł na stanowisko operatora maszyn. Gdy tylko wyuczył się na fachowca, zatrudnił się w browarze i został w nim aż do 1948 roku – z przerwą w czasie wojny. Mieszkaliśmy naprzeciwko browaru, po drugiej stronie ulicy. Pamiętam bramę wjazdową, pamiętam ciężarówki wjeżdżające i wyjeżdżające. Po prawej była słodownia,

maszynownia i tory, po których transportowano beczki z piwem. Znałem ten browar jak własną kieszeń. Teren nie był pilnowany, więc my, dzieciaki, ganiałiśmy tam bez przeszkód. Kiedy piwo się uwarzyło, zostawały wyloty jęczmienia w niskich kadziach – ludzie zabierali je na karmę dla świń, a my, dzieci, ganiałiśmy po tym, bo było ciepłe – śmieje się pan Evald.

– Piwo karwińskie ponoć było strasznie dobre. Ja sam smaku oczywiście nie pamiętam, bo byłem za mały, ale tata jako pracownik miał przydział piwa. Chodziłem mu po to piwo do browaru – przynosiłem je w takich zamykanych litrowych butelkach. Pamiętam też, że na terenie browaru była wielka sala i restauracja. Browar graniczył z parkiem Larischa. Ten park był bardzo piękny – rosły w nim rododendrony, azalie. Pałac też pamiętam, bo potem, jak Larisch wyjechał po 1945, zrobili tam przychodnię zdrowia – mówi pan Evald.

W zbiorach pana Evalda zachowało się świadectwo zdania przez jego ojca egzaminu na palcaz kotłów w Browarze i Słodowni dra Jana hr. Larischa-Mönnicha w Karwinie z 16 marca 1936 roku; dwie etykiety z piwa w języku polskim z okresu międzywojennego oraz firmowy kufel o pojemności 250 ml, z napisem *Piwa karwińskie*. – To jest kufel z czasów cesarza pana. Jest ciekawy, bo dwustronny – z jednej strony lato się piwo, z drugiej gorzotkę – wyjaśnia pan Evald.



Kufel firmowy z browaru karwińskiego, pocz. XX w.

WIZYTA W PAŁACU

W 1944 roku, gdy pan Evald miał rok, jego mama wraz z nim oraz innymi żonami pracowników browaru – których mężowie trafili na front – została zaproszona na bożonarodzeniowe spotkanie do pałacu. Sam tej chwili oczywiście nie pamięta, zna ją jedynie z opowieści matki. – Dostałem wtedy zabawkę



Emilia i Bogusław Kaczyńscy, lata 30. XX w.



Wujek Karol Kotula — kuzyn Bogumiła Kaczyńskiego — w wojsku austriackim.

– to była taka piękna owieczka zrobiona z wełny. Długo ją miałem, potem gdzieś się zapodziała. Mój tata strasznie chwalił Larischę, że był bardzo dobry. Dobrze płacił, postawił pracownikom kolonię, aby ludzie mieli gdzie mieszkać, wybudował piękny kościół, który niestety już nie istnieje. To tam miałem pierwszą komunię, a w Krzywym Kościele miałem bierzmowanie – wspomina pan Evald.

Życie młodego małżeństwa przerwała wojna. Na początku 1943 roku Emilia zaszła w długo wyczekiwaną ciążę, a Bogumił, chcąc chronić rodzinę, podpisał folkslistę. Syn państwa Kaczyńskich przyszedł na świat 12 września 1943 roku, a już 1 października Bogumił otrzymał powołanie do Wehrmachtu. Historię ojca pan Evald rekonstruuje ze strzępków opowieści.

– Tata trafił na front wschodni i podczas jednego ataku, planował zdezerterować – opowiadał, że schował się wraz z innymi kolegami ze Śląska, „gorolami” i innymi, pod drzewem i spędził tam trzy dni. Po bitwie gestapo tropiło dezertersów, strzelając



Agnieszka Kaczyńska, po. XX w.

bez ostrzeżenia. Gdy tata w końcu wyszedł z ukrycia, poddał się wojsku polskiemu. Najpierw pracowali jako jeńcy u gospodarza na wschodzie, później trafili do lagru. Przywieziono ich pociągiem do Piotrowic, umieszczono w obozie w cegielni we Frysztacie. Któryś ze znajomych rozpoznał tam moją tatę i powiadomił mamę. Potem przenieśli go wraz z innymi do Ostrawy Przywozu. Mama pobiegła tam, by błagać o jego wypuszczenie – skierowano ją do urzędu, gdzie stacjonowali Rosjanie. Tam w końcu zdecydowano o jego zwolnieniu. Rodzice wracali potem pieszo z Ostrawy do Stonawy. Gdyby nie udało się go uwolnić, zapewne przewieziono by go do Brna, a stamtąd do gułagu. Więcej szczegółów nie znam – wtedy byłam młody. Dziś słuchałbym tatę uważnie.

Po wojnie Bogumił Kaczyński ponownie podjął pracę w browarze. Emilia była szwaczką – uczyła zawodu młode dziewczęta, a po 1948 roku szyła już tylko w domu. – Kiedyś był taki zwyczaj, że krawcowa, która uszyła suknię ślubną, szła ubierać pannę

młoda. Gdy byłem mały, mama zawsze zabierała mnie ze sobą na družbę, bo ponoć byłem bardzo ładny – śmieje się pan Evald.

NIEZIDENTYFIKOWANE ZDJĘCIA

Wśród rodzinnych zdjęć wiele jest już nie do zidentyfikowania. Pochodzą z domu rodzinnego pana Evalda i zostały przez niego zabrane po śmierci rodziców. Niestety, dziś nie potrafi już rozpoznać, kto się na nich znajduje. Najwięcej niewiadomych dotyczy rodziny ze strony ojca. Babcia miała na imię Agnieszka Kaczyńska, ojciec Bogumiła był nieznanym. – *Babcia mieszkała w Boguminie. Jeździliśmy do niej, jeszcze trochę ją pamiętam, ale jak przez mgłę. Mieliśmy też rodzinę w Bielsku – jeden wujek mieszkał w kamienicy naprzeciwko hotelu Prezydent i nazywał się Wilhelm Kaczyński. Jak za nim chodziłem, to – aż mi głupio o tym mówić – twierdził, że ponoć babcia miała „modrą krew”. Mieliśmy też krewnych na ulicy Kosynierów 9 w Bielsku. Nazwisko Kaczyński jest w ogóle mało spotykane na Zaolziu. W Czechach kojarzy się głównie z nieżyjącym już polskim prezydentem.*

Wśród zdjęć znajduje się również fotografia wujka Karola Kotuli – kuzyna ojca pana Evalda – z czasów służby w wojsku austriackim, oraz zagadkowe zdjęcie kawalerzystów. Jeśli chodzi o to drugie, na pierwszy rzut oka widać, że to polscy żołnierze – na głowach mają maciejówki z orzełkami. W tle widać gęstą zabudowę – być może to któraś z kolonii górniczych w Karwinie? Niestety, pan Evald nie wie, kto się na nim znajduje. Dzięki konsultacji z historykiem^{*)} udaje mi się ustalić, że fotografia została wykonana najprawdopodobniej w listopadzie lub grudniu 1918 roku, tuż przed wybuchem wojny polsko-czechosłowackiej pod koniec stycznia 1919 roku. Przedstawia szwoleżerów Wojska Polskiego, którzy wówczas patrolowali linię demarkacyjną biegnącą przez Zagłębie Ostrawsko-Karwińskie.

Wiele twarzy na zdjęciach z albumu Emilii i Bogumiła Kaczyńskich wciąż pozostaje anonimowych, ale dzięki wspomnieniom pana Evalda udało się ocalić chociaż część historii rodzinnych. Jego pamiętki – kufel, etykiety, pozółtkie fotografie – tworzą cichy pomost między dzisiejszą Karwiną a światem, którego już nie ma.

^{*)} Za konsultację dziękuję koledze historykowi Danielowi Korbelowi.



Pałac w Karwinie-Raju, pocz. XX w.



Prawdopodobnie uczestniczki kursu gospodyń wiejskich w Orłowej, Emilia Recmanik druga z prawej w drugim rzędzie, l. 20. XX w.



Szwoleżerowie Wojska Polskiego patrolujący linię demarkacyjną w rejonie Zagłębia Ostrawsko-Karwińskiego, listopad–grudzień 1918 roku.

ZBIGNIEW HERBERT

„Pan Cogito postanowił wrócić na kamienne łono ojczyzny”

TEKST: RENATA PUTZLACHER

Przewędrowaliśmy z eseistą Herbertem pół Europy, zwiedzaliśmy z nim muzea i galerie. Trasy jego wędrówek zawsze wyznaczał głód wiedzy i pragnienie bezpośredniego obcowania z dziełami sztuki, choć czasem – jak przystało na „barbarzyńcę” z dalekiego kraju – pisał, że oglądane na Zachodzie „wystawy obfitości napawają znudzeniem”. Mówiono o nim, że jest pielgrzymem, zdążającym do źródeł kultury europejskiej. Zbigniew Herbert nigdy jednak nie chciał być emigrantem, wiedząc o cenie, jaką się za to płaci.

Poeta spędził poza Polską Ludową spory szmat życia. W listach do przyjaciół żartobliwie pisał: *Myszę o Was serdecznie, ja, stary emigracyjny tułacz*. Wspominałam już, że od połowy lat 60-tych Herbert był w RFN literacką gwiazdą, wywierając wpływ na całe pokolenie niemieckich poetów. Pisał otwarcie, że ma tam zapewniony byt i względny spokój *od ojczystych utrapień*. W 1981 roku wyznał w jednym z licznych wywiadów:

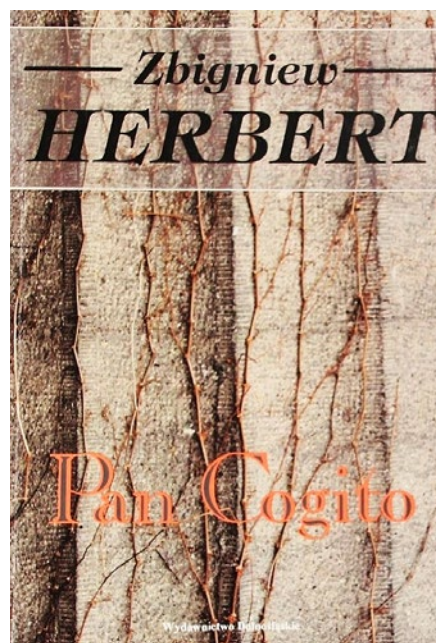
Psychicznie nigdy z Polski nie wyjeżdżałem. Nie chciałem być emigrantem, bo wiem, jaką cenę płaci się za emigrację. Ale potrafię zrozumieć tych, którzy zostali na emigracji. Moja konstytucja psychiczna, moja biografia przywiązała mnie tak bardzo do kraju, że muszę tutaj zostać. Nie mam innego wyjścia. Trudno mi powiedzieć, czy potrafię coś dać, współdziałać, ale sama obecność jest przyznaniem się. Narodu nie można dzielić na intelektualistów, robotników, chłopów, Żydów, Polaków, Rusinów, ale każdy, kto żyje w tym narodzie, jeśli ma powołanie uczestnictwa, powinien się zgłosić i zameldować.

Czytelnikom wierszy Zbigniewa Herberta, przede wszystkim cyklu o Panu Cogito, nie jest obcy ten apel moralny – wezwanie do aktywnej postawy, zachowania godności i wierności własnym przekonaniom, również w trudnych czasach. Badacze podkreślają, że Pan Cogito (Pan Myśle), który po raz pierwszy pojawił się w 1974 roku w to-

mie poezji Herberta pod tym samym tytułem, wyrósł z reakcji poety na świat po rewolucji kontrkultury 1968 roku. Rozważny Pan Cogito był przedstawicielem „starego świata”, podczas gdy na scenę wkroczyło wówczas nowe pokolenie, dla którego II wojna światowa stała się już historią. W roku akademickim 1970/1971 Zbigniew Herbert wykładał na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles. Trwała rewolucja kulturalna i o swoich studentach, którym brakowało elementarnych wiadomości ogólnych, pisał w liście do przyjaciół:

Mam duże klasy nie całkiem rozwiniętych intelektualnie studentów. Czasem wydaje mi się, że jestem panem od przyrody, który wyprowadza rozbrykaną młodzież na łączkę, stara się wzbudzić entuzjazm dla przylaszczki i robaczka, a tymczasem młodzież gzi się po krzakach i pali marihuanę.

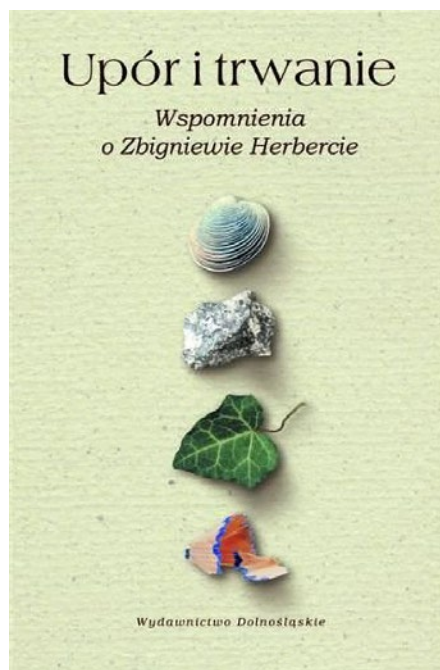
Z USA Herbert przywiózł w 1971 roku do Berlina gotowy do druku tom pt. *Pan Cogito*. Gdy z zaparkowanego pod domem samochodu zniknęły wszystkie rzeczy Herbertów, okazało się, że w jednej z ukradzionych walizek znajdowały się wiersze. Żona poety wspominała: *Modliliśmy się w intencji rękopisów do św. Antoniego, bo oboje mieliśmy do niego wielkie nabożeństwo*. W końcu jakiś niemiecki robotnik znalazł na budowie walizkę pełną dziwnych papierów i w ten sposób jeden z najwspanialszych tomów poety został uratowany.



Pan Cogito nie jest pozbawiony rysów autobiograficznych. Czytając przed laty wiersz O dwu nogach pana Cogito opisanych następująco:

*lewa noga skłonna do podskoków taneczna
zbyt kochająca życie żeby się narażać
prawa szlachetnie sztywna
drwiąca z niebezpieczeństwa*

Przypominałam sobie, że w młodości Herbert złamał nogę podczas jazdy na nartach i skutkiem tego było kalectwo (krótsza jedna noga). Bohater wiersza idzie przez



świat, „zataczając się lekko” na lewej nodze, „którą przyrównać można do Sancho Pansa” i prawej, „przypominającej błędnego rycerza”.

* * *

W listach do przyjaciół Herbert nazywał swoją sowieetyzowaną ojczyznę „Ubekistanem” albo „Gomułkowem”. Na początku ery gierkowskiej zaczął jednak wierzyć, że możliwa jest zmiana panującego systemu: *Bestia zdycha, ale nie wiem, czy my ją będziemy grzebali*. Bardzo chciał poznać świat, ale jednocześnie chciał dzielić los narodowej wspólnoty, ludzi, którzy nie mogli wówczas wyjechać. Gdy więc w Polsce w 1980 roku rozpoczęły się poważne przemiany, postanowił wrócić do Warszawy. W jego słynnym wierszu *Prześlanie Pana Cogito* są takie wersy: *Czuwaj – kiedy światło na górach daje znak – wstań i idź*.

Najpierw wróciła do Polski Katarzyna Herbertowa, by zająć się chorą matką męża, a on po zatłutnieniu wszystkich formalności przyjechał dopiero na jej pogrzeb we wrześniu 1980 roku. Wtedy już wybuchł „karnawał Solidarności”. Przedziwnym zbiegiem okoliczności również Karel Kryl wrócił do swojego kraju, gdy po 17 listopada 1989 roku zmieniła się sytuacja polityczna w Czechosłowacji i radość z aksamitnej rewolucji przyćmiła mu śmierć jego matki. Zmarła 24 listopada i wrócił również po to, by ją pochować.

*Pan Cogito
postanowił wrócić
na kamienne łono
ojczyzny
Decyzja jest dramatyczna
pożąda jej gorzko
/.../
Widzi już
granice
zaorane pole
mordercze wieże strzelnicze
gęste zarośla drutu*

*bezszelestne
drzwi pancerne
zamykają się wolno za nim
i już jest sam
w skarbcu
wszystkich nieszczęść*

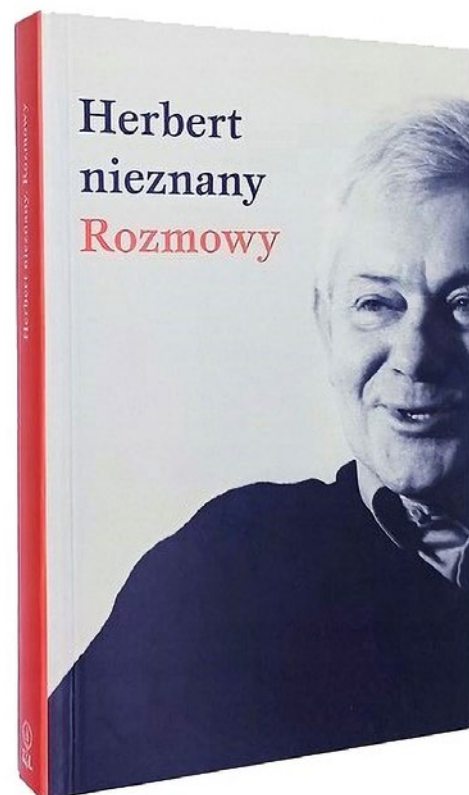
Przywołane przeze mnie fragmenty wiersza *Pan Cogito* – powrót nie brzmią zbyt optymistycznie, ale według relacji żony Herbert pędził do tej nowej Polski jak niesiony na skrzydłach i przez jakiś czas był to *skarbiec euforycznej radości*. Bardzo długo czekał na tę chwilę i po wybuchu *Solidarności* chciał być wszędzie, na zebraniach, spotkaniach rad redakcyjnych i imprezach kulturalnych. W 1981 roku mówił:

*Po powrocie zastałem Polskę taką, jaką
chciałem zawsze widzieć. Polskę ludzi god-
nych, z podniesionym czołem, sympatycz-
nych, uśmiechających się, niepodejrzli-
wych, niedonoszących, niewmanipulowa-
nych w urojone walki klasowe. Zastałem
Polskę ludzi uczłowieczonych. /.../ Może
mamy obecnie jedyną, naprawdę jedyną
w historii od 1939 roku, szansę stworzenia
ludzkich warunków życia dla nas na tej
ziemi. Przy wszystkich ograniczeniach,
geopolitycznych uwarunkowaniach czy jak
to inaczej nazwać. Jesteśmy przecież wyko-
nawcami testamentu ludzi, którzy byli przed
nami, i jeśli go nie zrealizujemy, to będzie
prawdziwa, bo moralna klęska.*

* * *

Herbertowie wyprowadzili się z dotychczasowego mieszkania w Berlinie Zachodnim i wrócili do Warszawy w styczniu 1981 roku. Był to pełen nadziei, szczęśliwy okres w życiu poety. Jego utwory cieszyły się ogromną popularnością, opublikowany w wydawanym poza cenzurą periodyku „Zapis” wiersz *Potęga smaku*

podejmował temat sprzeciwu wobec panującego systemu, często spotykany w twórczości poety. *Nasze oczy i uszy odmówiły posłuchu / książęta naszych zmysłów wybrały dumne wygnanie*. Warto posłuchać nie tylko tego wiersza w wykonaniu Przemysława Gintrowskiego, kompozytora i pieśniarza.



Po tym okresie wielkiej aktywności przyszło załamanie. Władze komunistyczne jeszcze 12 grudnia 1981 roku przed północą rozpoczęły zatrzymywanie działaczy opozycji i NSZZ *Solidarność*, a 13 grudnia w Polsce został wprowadzony stan wojenny. Po okresie początkowego szoku i aktywnego oporu poeta, cierpiący na chorobę afektywną dwubiegunową, zaczął odczuwać narastającą depresję, powracające czarne dni bólu i lęków.

Podczas pisania artykułu korzystałam z następujących publikacji:

Zbigniew Herbert, „Pan Cogito” (1974)

„Upór i trwanie. Wspomnienia o Zbigniewie Herbercie” (2000)

Jacek Łukasiewicz, „Herbert” (2002)

„Herbert nieznany. Rozmowy” (2008).

Wojna to tylko straszliwy kwiat

TEKST: RENATA PUTZLACHER

Senat Rzeczypospolitej Polskiej ustanowił Marię Pawlikowską-Jasnorzewską patronką roku 2025, bowiem 9 lipca minęła 80. rocznica jej śmierci. W lipcowym numerze pisałam o tej wybitnej poetce, dramatopisarce i malarce pochodzącej ze słynnego rodu Kossaków. Obiecałam też, że w następnym numerze napiszę więcej na temat spraw osobistych i ostatnich lat życia Marii Teresy z domu Kossak, primo voto Bzowskiej, secundo Pawlikowskiej, tertio Jasnorzewskiej.

Tak, poetka trzykrotnie wychodziła za mąż i jej życie prywatne bez wątpienia wzbudzało ciekawość. Była istotą z krwi gorącej i cienkich kości, i kobiecego ciała, które tylko pragnęło kochać. A jednak... była przy tym i nimfą grecką, i najadą, i sylfidą, i piękną czarownicą, którą wciąż spotykały niezwykle przygody – pisała o swej starszej siostrze Magdalena Samozwaniec (primo voto Starzewska, secundo voto Niewidowska) w *Zalotnicy niebieskiej*, jednej ze swych książek wspomnieniowych.

Magdalena nie była zbyt obiektywną biografką, pisała o swej siostrze Marii, zwanej przez wszystkich Lilką, z ogromnym uczuciem. Tak na przykład opisywała jej silną deformację ciała, mocno skrzywioną lewą łopatkę i twardy gorset-pancerz, w którym w młodości musiała chodzić przez cały dzień: *Jak Chrystus dźwigał krzyż na Golgotę, tak ona dźwigała przez całe życie swój krzyż skrzywiony*. Irena Krzywicka pisała o tym kalectwie (które Maria maskowała odzieżą, szalami i włosami) raczej lekkim tonem:

Czy to w czymkolwiek umniejszało jej urok? Ani trochę. I to mówię o uroku czysto fizycznym. Dowodem tego – trzech mężów i wielu zakochanych. Prawdziwe zwycięstwo ducha nad ciałem, bo to dusza tak ją ozdabiała.

* * *

Artystka od dziecka marzyła o szybkim zamażpójściu. Wyczekiwała wielkiej miłości, ale też obawiała się, że może zostać starą panną. W 1915 roku w wieku 24 lat poślubiła Władysława Janotę Bzowskiego, przystojnego porucznika armii austriackiej. Nie był to związek udany, Bzu-



nio (jak go zdrobniale nazywano) nie rozumiał artystycznej natury Lilki. Magdalena, która niezbyt pochlebnie wyrażała się o mężach swej siostry, zatytułowała rozdział dotyczący tego związku *Orlica i kogut*. Może dlatego, że w jednym z listów Lilka pisała o jego reakcji na zaliczkę, jaką otrzymała za swoje obrazki: *Chodzi koto mnie jako koto kury, która złote jajko, panie tego, zniósła*. Jej siostra po latach spojrzała w miarę obiektywnie na ten związek: *Bzunio przez pomyłkę dostał się do rodziny artystów, w której jedyną normalną osobą była teściowa*. Unieważnienie ślubu kościelnego (co podobno kosztowało *Tatkę*, Wojciecha Kossaka, niemało wysiłków i pieniędzy) nastąpiło po kilku latach i Lilka wróciła do rodzinnej Kossakówki.

W tym roku ukazała się nowa biografia poetki zatytułowana *Zgiełk serca. Opowieść o Marii Pawlikowskiej-Jasnorzevskiej*, której autorka Małgorzata Czyńska przywołuje to niezwykle miejsce dzięki opisowi Anny Kruczkiewicz, kuzynki Lilki:

Wtedy już odczuwałam nieprzeciętność tego domu. Był inny niż wszystkie, które dotąd znałam. Górował w nim nastrój pogody, artystycznej beztroski, wzajemnego zrozumienia, prawie adoracji, bardzo swoiste poczucie humoru oraz język i powiedzonka rodzinne. To wszystko stwarzało tę specjalną atmosferę Kossakówki.

* * *

Nową miłość, Jana Gwalberta Henryka Pawlikowskiego, pisarza i poetę, znanego Podhala i taternika, Maria poznała w Zakopanem. Według Samozwaniec był mężczyzną, za którym kobiety szalały, wysokim, pięknie zbudowanym, *jak to tylko górale być potrafili*. Do Pawlikowskich, którzy byli rodziną intelektualistów, artystów i miłośników Tatr, należała słynna willa Pod Jedłami i tu Maria zamieszkała po ślubie z Janem w 1919 roku. Pianista Roman Jasiński wspominał po latach:

Pawlikowscy – to była prawdziwie uroczą para. On, niezwykle przystojny, z twarzą rasową, o ślicznie zarysowanym profilu, szczupły i zgrabny, był człowiekiem o wybitnej inteligencji. Nie mniej interesująca była pani Lilka, wówczas jako poetka jeszcze prawie nieznana. Twarz miała piękną i uduchowioną, o rysach prześlicznie, delikatnie zarysowanych.



Zachowały się listy miłosne, które do siebie pisywali. *Ach Ty, świecie mój – Ty Boże mój – i mężu* – pisała poetka. Malując przedstawiała go jako wielkiego boga w gwieździstej todze, trzymającego na dłoni drobnego motyla-kobietę z twarzą jej samej. Z miłości do Pawlikowskiego (i we współpracy z nim) rodzą się debiutanckie *Niebieskie migdały*, wydane w Krakowie w 1922 roku, które wywołały wśród literatów i krytyków duży odzew. Zachwycano się tą książką, ale też ją ganiono. Po latach przychylny poetce Antoni Słonimski napisał o tym tomie: *Pierwszy raz w poezji miłosnej dochodzi do głosu z taką mocą i czystością dźwięku nie tenor męski, ale sopran kobiety*.

Młoda żona swoją osobowością i zdolnościami malarsko-poetyckimi zaczynała przytłaczać ambitnego męża. Niestety, ten związek również nie przetrwał – jedną z przyczyn rozpadu były coraz częstsze wyjazdy Pawlikowskiego, jego związek z młodą tancerką, a potem nieślubne dziecko. Poetka opisała wszystkie odcienie miłości – tej spełnionej i tej zawiedzionej – w swoich następnych książkach, *Różowej magii* i *Pocątunkach*.

* * *

Ostatni związek, ze Stefanem Jerzym Jasnorzewskim, o dekadę od niej młodszym oficerem lotnictwa, okazał się najbardziej stabilnym i trwałym. W roku 1931 poetka

stała po raz trzeci na ślubnym kobiercu, nie zrezygnowała z używania nazwiska byłego męża i dodała do niego drugi człon: Jasnorzewska. Wśród opublikowanych po wojnie listów tej pary można znaleźć zdanie, które Lotek (tak nazywali go Kossakowie) wysłał do swoich rodziców zaraz po poznaniu Lilki: *Znalazłem egzotyczny kwiat, którego nigdy nie opuszczę*.

W latach trzydziestych XX wieku Maria Pawlikowska-Jasnorzewska zdobywała coraz większe uznanie jako dramatopisarka i poetka. W 1937 roku została uhonorowana Literacką Nagrodą Miasta Krakowa, jej tomiki poetyckie podbijały serca czytelników, a sztuki teatralne (do 1939 roku napisała ich piętnaście) grane były na deskach prestiżowych scen. Bohaterką tragikomedii *Baba-Dziwo*, wystawionej w 1938 roku w Krakowie, była Valida Vrana, kobieta-dyktator. W uchwale Senatu RP o ustanowieniu roku 2025 Rokiem Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej przypomniano, że właśnie ta sztuka, *będąca satyrą na politykę Adolfa Hitlera, skutkowałą wpisaniem nazwiska autorki na tajną listę osób wrogich III Rzeszy. Karą za to było rozstrzelanie*.

W jurackiej Kossakówce, domku letniskowym, w którym jej ojciec miał pracownię malarską, poetka spędziła ostatnie piękne lato ze swoimi bliskimi. Magdalena Samozwaniec tak gorzko kończy opowieść o sobie i swej siostrze:

Z ganku willi widziałam ją, jak szła sama, z pochyloną głową i jeszcze na chwilę mignęła jej granatowa sukienka, a potem zniknęła na zawsze. Nigdy nie wiadomo, kiedy się kogoś najbliższego widzi po raz ostatni. W tydzień później wybuchła wojna.

O tamtym sierpniowym popołudniu 1939 roku tak mówił w radiowej „Dwójce” Rafał Podraza, popularyzator twórczości obu siostr Kossak:

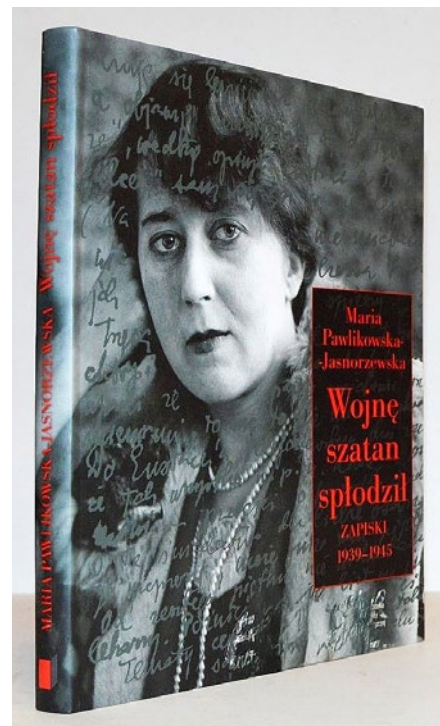
Magdalena cały czas tak jakby splotała dług pożegnania w Juracie w 1939 roku. Nie odprowadziła wtedy siostry na dworzec, tylko poszła na plażę. Nigdy więcej już się nie widziały. To w niej ciągle siedziało. Postanowiła dbać o pamięć o siostrze. Bardzo pilnowała rocznic, chętnie rozmawiała o Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej na swoich spotkaniach autorskich. Ta Lilka cały czas bardzo funkcjonowała w jej życiu.

Po agresji niemieckiej poetka wraz z mężem, Stefanem Jasnorzewskim, oficerem lotnictwa, podjęła dramatyczną decyzję o emigracji. Jak wielu Polaków przez Rumunię i Włochy dotarli do Francji, latem 1940 roku przenieśli się do Anglii. Osiedli w ośrodku lotnictwa RAF, Jasnorzewski odbywał służbę w różnych miejscach Anglii, a jego żona zamieszkała w hotelu, a potem w jednym z przepięknych uchodźców, także z Polski, pensjonatów w Blackpool.

* * *

*Nazwijcie ją, jak chcecie,
Straszną czy Obłądaną,
Wojnę Maszyn, Narodów czy Ras.
Wszystko jedno,
gdyż mam już dla niej imię,
co z każdą godziną
potwierdza się w tęsknocie:
to Wojna z rodziną...*

Te ostatnie lata były bardzo gorzkie. Pawlikowska-Jasnorzewska nie znała dość dobrze angielskiego, drażnił ją stadny patriotyzm i prywata rodaków, przeważnie pochodzących z zupełnie innych sfer społecznych. Jej twórczość zyskała w tym trudnym okresie nowy wymiar, pełen bólu, tęsknoty i duchowego niepokoju. W jednym z wojennych wierszy pisała: *Leżysz, Polsko, pod moją poduszką / Jak w dzieciństwie ukochana książka. Pragnę czytać, czytać całą duszą!*



O śmierci ukochanego ojca dowiedziała się z radia, śmierć matki długo ukrywała przed nią siostra.

W 1944 roku poetka trafiła do szpitala z diagnozą raka szyjki macicy. Mimo operacji jej stan się pogarszał, nowotwór dawał bardzo szybko przerzuty, najbardziej zaatakowany był kręgosłup.

Zmarła 9 lipca 1945 w szpitalu w Manchesterze, jej mąż był przy niej do końca. Maria Pawlikowska-Jasnorzewska została pochowana na Działce Polskiej na Southern Cemetery.

* * *

Autorka *Zgiełku serca* zapytała literaturoznawczynię, prof. Agatę Zawiszewską, czy jej studenci czytają Pawlikowską-Jasnorzewską. Ta odpowiedziała, że czytają, ale że odbierają ją już inaczej – nie widzą w niej poetki miłości, tylko poetkę... depresji. Aleksandra J. Ostroch jest autorką kolejnej publikacji biograficznej, w której poetka jawi się nie tylko jako fascynujący



koliber lub motyl poezji, ale też jako człowiek z krwi i kości, osoba w przedziwny sposób od wczesnego dzieciństwa predysponowana do cierpienia, które przemieniała w najczystsza poezję.

W przejmującym wierszu poświęconym wojnie Pawlikowska-Jasnorzewska pisała, że *to tylko straszliwy kwiat Rośliny, / która jest Życiem*. Kwiat ten

kwitnąć musi, a nie przekwitnie, na upiornej tracąc czerwieni, aże się w strzępy żółtych gazet nie przemieni, aże parady swojej nie zakończy...

Podczas pisania artykułu korzystałam z następujących publikacji:

Maria Pawlikowska-Jasnorzewska: *Wojnę szatan spłodził. Zapiski 1939–1945* (2012)

Magdalena Samozwaniec: *Zalotnica niebieska* (1973)

Małgorzata Czyńska: *Zgiełk serca. Opowieść o Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej* (2025)

Aleksandra J. Ostroch: *Maria Pawlikowska-Jasnorzewska. Życie w poezji skroplone* (2025)

POLSKI REAL-TIME MARKETING NIE DZIAŁA

TEGOROCZNE EPOKOWE SUKCESY, O KTÓRYCH JUŻ ZAPOMNIELIŚMY

TEKST: KRZYSZTOF ROJOWSKI

Wtrakcie trzech miesięcy jeden Polak zdobył kosmos, drugi Le Mans, a Polka – Wimbledon. I po kolejnych trzech już nikt o tym nie będzie pamiętał. Nieumiejętność wykorzystania *real-time marketingu* sprawić może, że długo będziemy czekać na podobne epokowe sukcesy. O ile w ogóle się ich doczekamy.

TRZY MIESIĄCE, TRZY EPOKOWE SUKCESY

Gdy popatrzeć się na listę zwycięzców 24h Le Mans od 2000 roku, to zauważymy tam kierowców niemieckich, włoskich, czasem francuskich czy hiszpańskich. Znajdziemy tam jednak jednego, jednego triumfator

ra z Polski – Roberta Kubicę, który dokonał tego w czerwcu tego roku.

Wimbledon – legendarna arena tenisowych zmagani. W XXI wieku wśród kobiet najczęściej wygrywały tam Amerykanki, ale też Czeszki. Całkiem niedawno – Barbora Krejčíková przed rokiem, Markéta Vondroušová

dwa lata temu. Ogółem przedstawicielki tylko trzynastu nacji zdobywały tam tytuły, z tym że ostatnia z nich dołączyła dopiero w tym roku – mowa o Polakach, za sprawą wygranej Igi Świątek.

Wyjdźmy poza bańkę sportową. Na przełomie czerwca i lipca przez prawie trzy tygo-

dnie w kosmosie przebywał Sławosz Uznański-Wiśniewski. Liczba amerykańskich astronautów oscyluje wokół 370., rosyjskich – 130., chińskich – 15. Polaków w kosmosie było z kolei dwóch – no, chyba że liczyć też tych polityków, którzy dawno oderwali się od ziemi i dryfują w stronę krańców galaktyki.

Trzy miesiące przyniosły więc trzy – śmiało można je tak nazwać – historyczne w swoich dziedzinach wydarzenia. „Świeżakiem” w gronie szeroko rozpoznawalnych Polaków jest tu Uznański, ale nawet i jego osiągnięcie, pierwsze o takiej skali, powoli odchodzi w zapomnienie. Dlaczego nie potrafimy wykorzystywać potencjału tak istotnych sukcesów?

PAŃSTWO TEŻ MUSI MIEĆ MARKĘ

Czym jest *Real-Time Marketing*? Weźmy świeży przykład – po zwycięstwie Świątek na Wimbledonie, firma Lubella wypuściła na rynek makaron w kształcie rakiet tenisowych. Producent zgłosił się też do niezwykle popularnego na Instagramie profilu Make Life Harder (obserwuje go 1,7 miliona ludzi) z prośbą o wymyślenie nazwy dla tegoż specjału. To jest istota takiej strategii – ma być lekko, humorystycznie, na temat, a przede wszystkim o czasie. Tak się buduje markę.

Tylko że markę może mieć nie tylko firma czy korporacja, ale powinno mieć ją także państwo. Wykorzystywać sukcesy rodaków, by się rozwijać i dawać szanse innym. Tak jak w 2012 roku – było Euro 2012, wybudowano mnóstwo *Orlików*. Sukcesy odnosił Małysz – ruszał program *Szukamy następców mistrza* (choć to głównie sprawa PZN). Do F1 po latach wracał Kubica – Orlen inwestował w polskich kierowców, takich jak Sztuka czy Kucharczyk. Akcja-reakcja.

Sukcesy sportowców wykorzystywali też politycy. Do Belwederu przyjeżdżali piłkarze po udanym Euro 2016, siatkarze zdobywający mistrzostwo świata, skoczkowie wracający z czempionatów i olimpiad. Duda odznaczał medalami zasługi czy to Iga Świątek, czy Roberta Lewandowskiego. Ale w ostatnich latach coś się popsło. Wydaje się, jakby świat sportu starał się za wszelką cenę oddzielić w ostatnich latach od świata polityki. Podobnie jest z kulturą czy nauką.

POKAŻ SIĘ Z POLITYKIEM, PRZYPNĄ CI ŁATKĘ

Wiele się mówi o polaryzacji polskiej sceny politycznej. To zagadnienie interesujące samo w sobie, ale spójrzmy na nie z dalszej perspektywy. Teza jest następująca: państwowość zaczęliśmy utożsamiać z polityką.

To nie są synonimy. Państwowości bliżej do polskości. Polskości rozumianej jako zbiór cech narodowych oraz wybitnych jednostek, które tworzyły i tworzą ten naród. W nim mieści się tak Piłsudski, jak Jan Paweł II; tak Lewandowski i Świątek, jak Szymborska i Miłosz. Słowem osoby, które swoimi sukcesami – w tak skrajnie różnych profesjach – promują Polskę. Sprawiają, że czuć dumę z bycia Polakiem.

Polityka tymczasem działa odwrotnie. Pokazuje, że każdemu da się przypiąć łatkę, gdy tylko się chce, i przez to dzielić. Spójrzmy na trio bohaterów trzech letnich miesięcy.

Najłatwiej będzie ze Sławoszem Uznańskim-Wiśniewskim, którego żoną jest przecież Aleksandra Wiśniewska-Uznańska – postanka Platformy Obywatelskiej. Łatwo sobie wyobrazić scenariusz, w którym w razie stworzenia jakiejś dużej prorządowej kampanii medialnej z udziałem kosmonauty, prawicowe media przypisałyby mu łatkę „lewaka” i „po-wca”.

Łatwo byłoby również przypisać łatkę Robertowi Kubicy. Przecież to kierowca wspierany od lat przez PKN Orlen, który do niedawna wyłącznie kojarzył się z Danielem Obajtkiem – jego wieloletnim prezesem z nadania Prawa i Sprawiedliwości. I chociaż obecnie państwowa spółka jest nieco mniej upolityczniona, to gdyby za zwycięstwo w Le Mans Kubicę odznaczył czy to Duda, czy Nawrocki, spodziewać by się można było różnych, niekoniecznie poprawnych politycznych komentarzy.

Z Iga Świątek byłoby najtrudniej, bo raczej stara się nie angażować politycznie. Dla chcącego jednak nic trudnego – można by wskazać, że jest ambasadorką PZU. Czyli ubezpieczyciela, który także powiązany był z poprzednią władzą, a w latach 2016–2024 spółka wykazała ponad 700 milionów straty. Między innymi złe zarządzanie kadraj.

OD POLITYKI JAK NAJDALEJ

Żeby było jasne – wszystkie te przykłady pokazujące, jak łatwo komuś przypiąć partyjną łatkę, to absurd. Sportowcy są idolami młodzieży dlatego, że są apolityczni. Mają wygrywać, być najlepszymi, ciągle się rozwijać, a nie politykować. Podobnie naukowcy – Uznański-Wiśniewski zostawał szefem najważniejszego departamentu w CERN-ie czy dostawał się do Europejskiej Agencji Kosmicznej (pokonując ponad 22 tysiące innych kandydatów) nie dzięki partyjniactwu, a determinacji, inteligencji i wiedzy. Nie robił też tego po to, by potem mu przypisywali, że jest za Tuskiem. A Kubica i Świątek nie po to wygrywali najbardziej prestiżowe zawody w swoich sportach, by im w komentarzach pisali, że są za Kaczyńskim.

Tylko nie na tym to powinno polegać. Państwowość to nie polityka – każdy, kto rządzi, powinien chcieć rozwoju kraju. Priorytetem nie powinno być przywalenie przeciwnikom, a – wiem, zabrzmi to dość dziwnie – dobro Ojczyzny. I nie chodzi o patetyzm.

Przecież czy trudno sobie wyobrazić, że jeszcze przed lotem Uznańskiego rząd czy Polska Agencja Kosmiczna ma przygotowany plan wizyt drugiego polskiego astronauty w polskich szkołach? Zwykłych podstawówkach – a nuż się zdarzy, że w którejś z nich jakiś Staś, Ignasz czy Julcia zamarzą o kosmosie. I po latach tam polecą.

A czy trudno sobie wyobrazić, że Iga Świątek – przecież już od lat najlepsza polska tenisistka – po wygranej na Wimbledonie wraca do Polski, by uściśnąć dłoń prezydentowi czy premierowi (albo obu)? Jak science-fiction to science-fiction) na konferencji zapowiadającej program milionowych dotacji dla szkółek tenisowych?

A może trudno sobie wyobrazić, że Robert Kubica – na jego startach to już się pokolenia wychowują – przyjeżdża do Polski, by spotkać się z polskimi najwyższymi władzami i porozmawiać o budowie dużego ośrodka kartingowego, na którym mogliby się ścigać jego następcy? Nawet jeśli na kolejnego Polaka w F1 mielibyśmy czekać 20 lat?

Chyba trudno. Bo Polacy to naród wspańiały, tylko nie potrafi się chwalić.



**NASZE
KLUBY**

KLUB KOBIET TRZYNIEC ŁYŻBICE-WIEŚ

TEKST: BEATA INDITYRNA / ZDJĘCIA: BEATA INDITYRNA, ARCH. KLUBU

O Klubie Kobiet działającym przy Miejsowym Kole Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego Trzyniec Łyżbice-Wieś rozmawiamy z jego przewodniczącą Heleną Musioł. Na spotkanie przyszła razem z kronikarką Marią Supik.

Od kiedy istnieje Klub Kobiet przy Waszym Kole?

Helena Musioł: Klub Kobiet istnieje od roku 1973. Pierwszą kierowniczką była pani Rozalia Staszko. Była prezeską do roku 1982. Od 1982 do 1990 roku była pani Jarka Jursa. Później, od 1990 do 2003 była Hania Sikora. Czwartą, od 2003 do 2024 była Helka Kadłubiec. A teraz, od tego roku jestem ja.

Po tym, jak Pani wymieniła kolejne przewodniczące, już widać, że Wasz Klub działa od tego roku 1973 nieprzerwanie.

H.M.: Tak.





A Pani jest w Klubie od kiedy?

H.M.: Właściwie od samego początku. Jestem najstarszą członkinią klubu. Jeszcze w 2007 roku było nas 23. A teraz zostało nas już tylko sześć.

A więc Wasz Klub jest malutki, ale działa. Spotykacie się regularnie?

H.M.: Tak, spotykamy się w każdą pierwszą środę w miesiącu. A że nie mamy własnej świetlicy, to mamy taki „latający klub kobiet”. Spotykamy się albo w jakiejś restauracji, albo u kogoś w domu.

Maria Supik: Albo w ogródku.

Co na tych comiesięcznych spotkaniach robicie?

H.M.: W poniedziałki mamy zarząd Koła. Tak więc zawsze pierwszym punktem programu naszego spotkania Klubu Kobiet jest przekazywanie informacji z zebrania zarządu. Trzy spośród nas są i w Klubie Kobiet i zarządzie Koła. A że prezes chodzi na zebrania konwentu prezesów, to i stamtąd przynosi informacje z Zarządu Głównego. Także zawsze jest coś do przekazania.

Następnie, kiedy planujemy zorganizować jakąś imprezę, musimy porozmyślać i ustalić co, kto, kiedy ma zrobić.

No a później, jak już wszystko co potrzeba uzgodnimy i omówimy, to troszeczkę ploteczek, o tak.

Od trzech lat sporo imprez organizujemy wspólnie z pozostałymi trzynieckimi Klu-

bami Kobiet. I muszę powiedzieć, że przez to, że nie mamy swojej świetlicy, w której można by było coś przygotowywać, ta nasza praca tak troszeczkę upada.

M.S.: Ale wierzymy, iż współpraca naszych zaprzyjaźnionych KK będzie dalej się rozwijać i będzie gwarancją przeżycia naszego Klubu Kobiet.

No tak, jeżeli się spotykacie w jakimś lokalu, to można sobie poopowiadać, powymieniać się informacjami, ale już na przykład robótek ręcznych czy warsztatów się tam nie rozłoży...

H.M.: Właśnie. Ani żadnej prelekcji się nie zrobi. Ale jest nas szóstka, i już wszystkie jesteśmy dość wiekowe.

Tak więc wasze spotkania są po prostu takie bardziej towarzyskie?

H.M.: W sumie tak. Jeśli jest potrzeba, to też zajdziemy w odwiedziny do kogoś, jak jest chory. Albo mieliśmy też członkinię w Domu Opieki Społecznej, tak więc chodziliśmy ją odwiedzać.

W roku 2022 z trzech trzynieckich MK PZKO stały się koła zaprzyjaźnione. Jak z MK, no to i z Klubów Kobiet. Pierwszą wspólną imprezą było szycie maskotek do koła szczęścia na Festiwal PZKO w Czeskim Cieszynie. Z kolei w tym roku wspólna Wystawa robót ręcznych w Domu PZKO A. Wawro-sza w Trzyńcu-Tarasie. Sporo pracy włożyłyśmy w prace przygotowawcze do tej wystawy.

Przy samej organizacji wystawy? A swoich prac tam nie wystawiałyście?

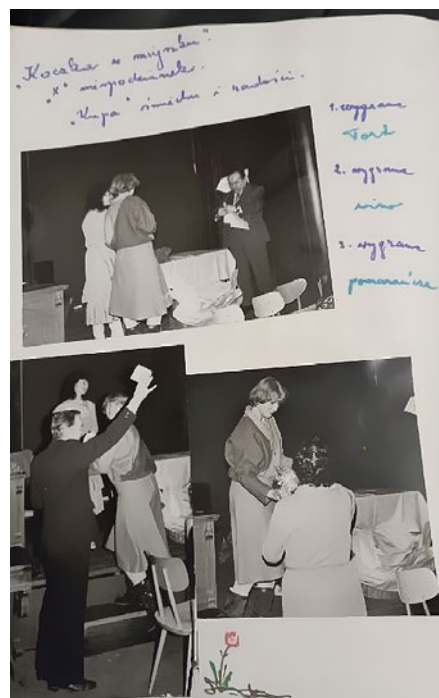
H.M.: Większość wystawianych prac była ze Starego Miasta. Ale nasze prace też tam były.

A więc Wasze członkinie zajmują się robótkami, tylko nie wspólnie na spotkaniach, a każda indywidualnie w domu?

H.M.: Tak. Ale jakichś nowych technik to już nie mamy szansy się nauczyć. Tak więc na wystawie były prace, jakie niektóre z nas robią indywidualnie, były też wystawione prace pożyczone. Na przykład kilka wystawionych prac wypożyczyłam od koleżanki, która nie jest członkinią naszego Klubu. Tak jest obecnie.

Ale kiedyś, jak jeszcze mieliśmy naszą świetlicę, to robiłyśmy wystawy. Te wystawy były bardzo fajne. Zrobiłyśmy dziesięć wystaw. Przeważnie wystawy były co trzy lata. Pierwsza odbyła się w 1977 roku. A jaka frekwencja była na tych wystawach! Proszę popatrzeć do kroniki: 400, 600, 400, 300, 480... Czyli prawie 500 osób zawsze odwiedziło wystawę.

Wszystkie te samodzielne wystawy były w tamtej naszej świetlicy. Tylko jedna była w budynku „Narodni fronty”, w którym jest teraz dworzec kolejowy. Było to przed świętami Bożego Narodzenia, więc przychodziło dużo ludzi z osiedla i frekwencja zwiedzających była jeszcze większa.





Kiedy mieliśmy Świetlicę MK w starej szkole w Łyżbicach, mieliśmy tam kącik kuchenny, gdzie można było przygotowywać poczęstunek na zebrania i inne wydarzenia. Na pierwszym piętrze był dość długi korytarz, można było rozstawić stoły, jak również mogliśmy korzystać jeszcze z drugiej klasy na przeciwko, zwłaszcza przy organizowaniu wystaw, Mikołajówek i balików dla dzieci.

W przeszłości były też organizowane na przykład kursy szycia.

Przy naszej dawnej siedzibie jest boisko, więc mogliśmy tam robić też takie imprezy, jak smażenie jajecznicy, festyny, zabawy ogrodowe, itp.

M.S.: Znane i lubiane w naszym MK były organizowane przez Klub Kobiet Spotkania przy świecach. Pierwsze Spotkanie odbyło się 12 lutego 1988. Zapraszałyśmy na nie swych mężów, zarząd MK i również jakąś ciekawą osobistość Zaolzia na miłe pogawędki, np. dr. Daniela Kadłubca, Władysława Młynka, Anielę Kupiec. Zabawną częścią każdego Spotkania była loteria. A w loterii 3 główne nagrody (tort, wino i owoce) i mnóstwo niespodzianek, tzw. „Koczek w miyszku”, czyli było przy tym mnóstwo śmiechu i radości.

A odkąd nie macie swojej własnej siedziby i jest was mniej, to wasze spotkania stały się bardziej towarzyskimi?

H.M.+ M.S.: Właściwie tak. Jeszcze do niedawna, dopóki koleżanki miały lepsze zdrowie, to jeździłyśmy gdzieś, przykładowo do Mostów koło Jabłonkowa, Łomnej, Gutów, Cieszyńska, żeby wspólnie troszeczkę pospacerować. Albo robiłyśmy sobie przechadzkę po naszym tutejszym parku leśnym, byłyśmy na łyżwickim cmentarzu na grobach naszych zmarłych członków. No ale teraz już nogi coraz bardziej boją i po prostu jak trzeba gdzieś się wybrać, to tylko samochodami. Takim sposobem odwiedzamy wystawy robót ręcznych innych Klubów Kobiet. Poza tym ostatnio nasze spotkania są już bardziej takie, żeby coś się dowiedzieć, porozmawiać. Ale... jeśli nasze MK coś organizuje, to jeszcze panie naszego Klubu Kobiet zawsze na imprezę coś upieką.

A jaka jest średnia wieku Waszych członkiń?

H.M.: Najmłodsza jest rocznik 1953. A ja jestem rocznik 42, czyli ja mam już po

osiemdziesiątce. Jestem najstarsza w naszym gronie. Ogólnie wszystkie jesteście roczniki 40, 50. Szkoda, że nie udaje nam się uzupełnić i odmłodzić naszego klubu. Potrzebowałybyśmy zastrzyk młodej krwi, niestety nie ma chętnych.

Myślę, że młodzi po prostu wyjeżdżają na studia i już nie wracają. Widzę wiele takich przypadków wśród dzieci członków naszego Koła. Ale też bardzo dużo jest teraz mieszanych małżeństw czesko-polskich. I często pomijają tę pracę. Ogólnie jest teraz tyle możliwości, a kiedyś cieszyliśmy się, kiedy po prostu udało się np. załatwić jakieś filmy albo coś takiego. Mieliśmy wiele prelekcji, na przykład podróżniczych. Teraz już taka działalność nie jest tak potrzebna ani interesująca, bo ludzie sami zwiedzają świat.

Prezesem jest Pani od niedawna. A w klubie? I w PZKO

H.M.: W PZKO od zawsze. Po ukończeniu szkoły w 1960. roku wstąpiłam od razu do PZKO. I od razu byłam w zarządzie, bo skończyłam ekonomiczną szkołę, umiałam pisać na maszynie, więc zostałam sekretarką.



Później byłam w zarządzie razem z mężem, mąż był dość długo prezesem Koła.

Tak samo jak nasza kronikarka Majka, która ma taki zmysł estetyczny, że nasza kronika nie tylko wygląda bardzo ładnie i nas cieszy, ale też była oceniona jako najlepsza kronika. Gdy był konkurs kronik, to nasza kronika wygrała.

Konkurs kronik klubów kobiet, czy kół PZKO?

H.M.: Kół PZKO. Ale o tyle nas to cieszy i ma związek z naszym Klubem Kobiet, że kronikarka to nasza członkini. A tam było ponad 70 kronik ze wszystkich kół, od Mostów po Boguminy.

M.S.: To był rok 2016, kiedy nasza kronika wygrała. Od tego czasu dalszego konkursu kronik nie było. Był to konkurs kronik MK PZKO, ale w naszej kronice jest prezen-

towana i cała działalność Klubu Kobiet. Oprócz tego robię wszystkie zaproszenia na imprezy naszego MK i również KK, no i piszę wszystkie protokoły z zebrań zarządu i zebrań członkowskich MK.

Czym dla pań jest działalność w Klubie Kobiet? I jak panie uważają, dlaczego warto tę działalność kontynuować? Co to daje z ogólnej perspektywy zrzeszonych pań?

H.M.: Myślę przede wszystkim, że czasy, w których były początki działalności PZKO i Klubów Kobiet były zupełnie inne, niż jest teraz. Przede wszystkim wtedy nie było tyle programów telewizyjnych, internetu, „chtrych” telefonów. Nie było w zasadzie niczego z dzisiejszych rozrywek, więc było dobrze się spotykać, by realizować różne pomysły, które były też wtedy bardzo uży-

teczne, potrzebne. No a teraz jest bardzo przyjemnie, po prostu, się spotkać. Człowiek ma takie dobre samopoczucie, że coś się robi, że nas – PZKO troszeczkę widać.

M.S.: Podobno dopiero kiedy kobiety gremialnie zabierają głos to są słuchane. Praca zespołowa daje kobietom to, że są nie tylko słuchane, ale na pewno i zauważalne. I musimy pamiętać, iż we współpracy i różnorodności jest siła. Może pojęłam to zbyt ogólnie ale szkoda, że do Klubów Kobiet nie garną się młode panie.

Jednym z wpisów w kronice Klubu Kobiet przy MK PZKO Łyżbice-Wieś jest „Oda do łyżbickich babek” autorstwa Marii Supik. Jako, że jest wspaniałym, podanym z humorem opisem działalności Klubu Kobiet przy MK PZKO Łyżbice-Wieś, przytaczamy ją w całości:

Oda do łyżbickich babek

Maria Supik

*Tak się na świecie sprawy układają,
że chłopci babkom radzi dokuczają.
Inaczy to nima, ani w tej łyżbicki snozie,
że lepi niż babie chłop rozumiy kozie.
I z tych oto powodów – to już lat 40 minie,
jak babki założyły swoje zgródziny w dziedzinie.
Klubem Kobiet go nazwały – tak to było w modzie
i od wtedy organizowanie z chłopami żyjęm w zgodzie.
Za tyn czas kaj z czego się zrobiły stare graty,
ajji my wtedy były młodsze, chudsze i nie bolały nas gnaty.
Śmierć i choroby se jako wszyndzi swój podatek bieróm
a na tej reszcie też się podpisuje czas, tyn stary pierón.
Zmyniali się prezesi, prezeski, zmyniali się ludzie
głównie aby ci byli, bo bez nich to nie pujdzie.*

*No, ale wróćmy się ku naszemu jubileuszu,
nasze babki choć już nie młode, są pełne animuszu.
Roz za miesiąc się schodzóm w świetlicy na plotki,
a tam se puszczają języki na pełne obrotki.
Przy kawce se naplanująm działalność swojóm
a potym przy robocie się dwójóm i trojóm.*

*W każdym czasie to dycki były babki pracowite
i w tej drobnej robocie też miały wyniki znakomite.
Szyły, wyszywały heklowały i sztrykowały
i roz za 2 roku potym wszystko wystawowały.*

*Były to ogromne, wspaniałe wystawy a było ich dziesięć
dalsze už nie bedóm, ni przez brak inspiracji ani niechęć,
ale brak warunków babkom stanął w ceście,
inaczy by ich mógł być spokojnie ajji dwieście.*

*Jako jedyny „Klub” w naszym PZKO-wskim Kole
odgrywo w nim te najważniejszóm role.
Bodej, dyć babki zabezpieczająm każdej akcji zaplecze,
organizujóm, nakupujóm, warzóm, každo coś upieczce.
Dzięki nim PZKO-wcy przez roków tela,
na swoich akcjach nie głodowali wela.
A że už teraz babki jakisi ty roczki mająm,
tak sem tam i nikiere z poza Klubu pómogająm.*

*Organizujemy też krótkie wycieczki po najbliższym świecie,
u Pudetków nakupujemy flanki, kwiaty i inne rupiecie.
Potym się tym wszystkim na Klubie chwołymy
i każdy miesiąc urodziny klubowiczek obchodzimy.*

*Tak by tu szło czynność, ajji sukcesy wyliczać na tóny,
ale to by tu każdy chłop za chwilę siedziót najeżóny.
A przy tym to chłopci sóm największe nasze ozdoby,
tak ich wystawować, to ajji bez lokalu sukces gotowy.*

*Chłopci dziękujmy Wóm, że przy nas stojicie
i na Klub i z Klubu nas bez mamranio wozicie.
Stasio, Peter, Janek i ta reszta cało,
ale dziękować to isto mało, kielicha by to chciało.*

*A przy jednym zaśpiywać tak od płuc porzónndnie, należycie
100 lat dla Klubu, jubilatkom, wszystkim na długi życie.
Niech ta gwiazda pomyślności nie zagaśnie, niech świeci na wdychi,
niech się dzierży i rozkwita Klub Kobiet łyżbicki!!!*



ZE ŚPIEWEM NA USTACH I HARMONIA W SERCU...

SUKCESY CHÓRU UNIWERSYTETU ŚLĄSKIEGO HARMONIA NA MIĘDZYNARODOWEJ SCENIE

TEKST: KAROLINA PUKOWIEC / ZDJĘCIA: ARCHIWUM CHÓRU

Wraz z zakończeniem roku akademickiego na zasłużony odpoczynek po kolejnym pomyślnym sezonie artystycznym udali się członkowie Chóru Uniwersytetu Śląskiego HARMONIA.

Ten znany i ceniony w środowisku zespół z powodzeniem kontynuuje tradycje założonego w 1908 roku Towarzystwa Śpiewaczego HARMONIA w Cieszynie. Jako chór akademicki zaistniał w roku 1971 przy Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie. Aktualnie członkami chóru są studenci kierunku Edukacja artystyczna w zakresie sztuki muzycznej na Uniwersytecie Ślą-





skim, a siedzibą zespołu jest Wydział Sztuki i Nauk o Edukacji, mieszczący się w charakterystycznym, ponad stuletnim budynku przy ulicy Bielskiej w Cieszynie.

Na przestrzeni ponad 50 lat działalności artystycznej Chór HARMONIA brał udział w licznych festiwalach w Polsce i na świecie, zdobywając wiele prestiżowych nagród. Zespół ten nagrywał także dla radia i telewizji, realizował nagrania CD, prawykonął utwory wybitnych kompozytorów, takich jak Wojciech Kilar czy Józef Świder. HARMONIA miała okazję koncertować nie tylko na scenach europejskich, lecz także w Korei Południowej i Tajlandii.

Chór współpracował ze znanymi orkiestrami, w tym m.in. Narodową Orkiestrą Symfoniczną Polskiego Radia w Katowicach, Orkiestrą Symfoniczną Polskiego Radia w Krakowie czy Orkiestrą Państwowej Opery w Koszycach, oraz dyrygentami – José Marią Floréncio, Antonim Witem, Marcinem Nałecz-Niesiołowskim.

Warto wspomnieć, iż swoje osiągnięcia HARMONIA zawdzięcza zarówno chórzystom, jak i znakomitym chórmistrzom, w tym Władysławowi Wilczakowi, Helenie Danel-Bohrzyk, Halinie Goniewicz-Urbaś oraz Izabelli Zieleckiej-Panek. Od 2023 roku zespół ten prowadzony jest przez prof. dr hab. Joannę Glenc, absolwentkę katowickiej Akademii Muzycznej, związaną zawodowo z Uniwersyteciem w Cieszynie od 1987 roku.

Bogaty repertuar HARMONII obejmuje dzieła najwybitniejszych kompozytorów od muzyki średniowiecza po utwory współczesne. Zespół chętnie wykonuje muzykę polską, w tym artystyczne stylizacje muzyki ludowej.

Również w minionym roku akademickim HARMONIA przygotowała nietuzinkowy repertuar, a efekty cotygodniowych prób muzycy prezentowali zarówno podczas uroczystości uniwersyteckich, jak i poza uczelnią. Niewątpliwie najważniejsze dla chóru wydarzenia ostatnich miesięcy to udział w dwóch znaczących, międzynarodowych festiwalach chóralskich.

Pierwszy z nich to 21. Międzynarodowy Festiwal Chórów Uniwersyteckich – Akademicka Bańska Bystrzyca 2025, który odbywał się w dniach 13–15 maja br. w Bańskiej Bystrzycy na Słowacji. W festiwalu, którego celem jest m.in. rozwijanie miłości do muzyki i kultury ojczystej, poznawanie muzyki i historii różnych narodów, integrowanie młodych ludzi, pobudzanie ducha twórczego chórów akademickich oraz poszerzanie horyzontów kulturalnych młodej inteligencji, wzięło udział pięć chórów z Czech, Słowacji, Węgier oraz Polski. W przesłuchaniach konkursowych, które odbyły się w Kościele pw. Wniebowzięcia NMP Chór UŚ HARMONIA przedstawił repertuar sakralny, składający się z utworów dawnych oraz współczesnych. Rezultatem tych przesłuchań były dwie ważne dla chóru nagrody: *Silver Band* w kategorii muzyka sakralna oraz *Nagroda Specjalna Biskupa Diecezji Bańska Bystrzyca* za przekaz dramaturgii utworów z tematyką sakralną.

Oprócz prezentacji konkursowej Chór UŚ HARMONIA zaśpiewał też przed licznie zgromadzoną publicznością w Auli Głównej Wydziału Ekonomicznego Uniwersytetu Mateja Bela podczas Koncertu inauguracyjnego festiwalu, wykonując repertuar składający się z utworów o tematyce świeckiej. Na uwagę zasługuje fakt, iż zespół zaprezentował wówczas pieśni współczesnych kompozyto-

rów polskich, w tym Jana Maklakiewicza, Jacka Glenca, Marcina Wawruka oraz Józefa Świdra – wieloletniego wykładowcy UŚ. Zwieńczeniem pobytu na Stowacji był koncert plenerowy dedykowany mieszkańcom i gościom Bańskiej Bystrzycy, odbywający się na Placu Stowackiego Narodu.

Kolejne dokonania HARMONII miały miejsce kilka tygodni później w czeskim Ołomuńcu. Tam chór wziął udział w prestiżowym *International Choir Competition MUNDI CANTANT* w ramach 52. *International Festival of Songs Olomouc 2025*. Ten jeden z najstarszych w Europie festiwali muzycznych promujący i popularyzujący sztukę chóralną odbywał się w dniach 5–8 czerwca br. Biorące w nim udział liczne zespoły z całego świata reprezentowały różne kategorie wykonawcze. Organizatorzy zaoferowali uczestnikom ciekawy program towarzyszący, obejmujący koncerty, warsztaty i lekcje mistrzowskie prowadzone przez ekspertów w dziedzinie chóralistyki.

Chór UŚ HARMONIA miał okazję zaprezentować się w Sali Koncertowej Filharmonii Morawskiej REDUTA w Ołomuńcu. W programie konkursowym znalazły się utwory zarówno o tematyce religijnej, jak i świeckiej, takich kompozytorów jak Eric William Barnum, Sławomir Kaczorowski, Jan Małkiewicz oraz Marcin Wawruk. W efekcie tych konkursowych zmagani HARMONIA otrzymała nagrodę *Silver medal* w kategorii A5 – *Adult choirs mixed*.

Gratulując dotychczasowych sukcesów życzymy, aby dobra passa nie opuszczała HARMONII również i w kolejnym roku działalności. Niech radość wspólnego muzykowania towarzyszy członkom zespołu i prowadzi na drogę pełną inspiracji, satysfakcji i dalszych muzycznych osiągnięć.



SPOTKANIE PO LATACH

JUBILEUSZ 80-LECIA PIĘCIOKLASÓWKI W TRZYŃCU-KANADZIE

TEKST: INDI / ZDJĘCIA: ARCHIWUM

W dniach 13–14 września 2025 roku odbędą się jubileuszowe uroczystości upamiętniające 80. rocznicę odbudowy i ponownego otwarcia po II wojnie światowej Polskiej Szkoły Podstawowej w Trzyńcu-Kanadzie. Organizatorzy zapraszają byłych uczniów pięcioklasówki oraz wszystkich związanych z jej historią na spotkanie po latach oraz towarzyszącą mu wystawę.

Szkoła rozpoczęła działalność 3 listopada 1936 roku w budynku nr 410, udostępnionym przez Jana Małysza. Dotychczasowa ochronka została wówczas przeniesiona do innego lokalu. Po wybuchu II wojny światowej działalność wszystkich szkół w regionie została zawieszona. Nauczanie wznowiono 6 września 1945 roku w budynku nr 463, opuszczonym przez niemieckich lokatorów. W dniu inauguracji zapisanych było 43 dzieci. Dyrektorem został Karol Cieńciała, który prowadził szkołę przez cały okres jej istnienia.

► Kanada, rok 1931



◀ Budynek szkoły, rok 1945

Placówka funkcjonowała jako pięcioklasowa. W każdej klasie uczyło się od kilku do kilkunastu uczniów, łącznie około 40–50 dzieci. Ostatni rocznik, który ukończył całość nauki w tej szkole, opuścił jej mury w połowie lat 60. Następnie dzieci z Trzyńca-Kanady zaczęły uczęszczać do polskiej szkoły na Podlesiu.

Jak wspominają dawni uczniowie, w latach powojennych polskość była na tym terenie silna, a działalność Macierzy Szkolnej wspierana przez lokalne władze. Podobne pięcioklasowe szkoły funkcjonowały wówczas także w innych dzielnicach Trzyńca – na Podlesiu, w Końskiej i Gutach. Dziś żadna z nich już nie istnieje.

Z okazji jubileuszu przygotowano cyfrową kronikę w formie fotoksiążki, dokumentującą historię szkoły w Trzyńcu-Kanadzie. Jej inicjatorami są absolwenci: Jarek Miczek, Janka Russ (z domu Cieñciała), Janka Fialova (z domu Recmanik) oraz Zbyszek Żmija. W opracowaniu wykorzystano dane z kronik szkolnych i archiwów MK PZKO Trzyniec-Kanada, a także prywatnych zbiorów rodzinnych. Identyfikacją osób widocznych na zdjęciach zajęli się dawni uczniowie, wspierani przez działaczy MK PZKO. Graficzne opracowanie i skład wykonał Zbigniew Żmija. Kronikę będzie można obejrzeć podczas wystawy, a chętni będą mogli zamówić drukowany egzemplarz.

Organizatorzy zwracają się z prośbą o rozpowszechnienie zaproszenia wśród jak najszerszego grona dawnych uczniów, do których nie mają dziś bezpośredniego kontaktu. Osoby posiadające w swoich domowych archiwach zdjęcia, dokumenty lub inne wspomnienia z lat 1945–1966 proszone są o ich wypożyczenie na potrzeby wystawy. Materiały można przekazać przed wydarzeniem kontaktując się z Jarosławem Miczekiem (tel. 606 671 405) lub Zbigniewem Żmiją (tel. 602 794 861), albo przynieść je w pierwszy dzień spotkania. Wszystkie wypożyczone materiały zostaną zabezpieczone i zwrócone właścicielom.

Uczestnicy spotkania będą mogli skorzystać z możliwości posiłku, kawy i ciastka w restauracji C Klub znajdującej się w tym samym budynku.



Drugi budynek szkoły i przedszkola – dziś PZKO, rok 1945



Przedwojenna szkoła w budynku Jana Małysza, rok 1937



21. czerwca 1946

Dyrektor Karol Cieñciała, rok 1945





▲ Maria Skłodowska-Curie na schodach przed hotelem Radium Palace w Jachymowie. Źródło: Musée Curie.

PRZED STU LATY MARIA SKŁODOWSKA-CURIE ODWIEDZIŁA CZECHOSŁOWACJĘ

TEKST: ROMAN STRZONDAŁA

Żadna kobieta nie dostarczyła Polakom tylu powodów do dumy, co ona. Żadna Polka nie jest tak znana na świecie. Maria Skłodowska-Curie należy do najwybitniejszych i najbardziej szanowanych uczonych swojej epoki. Jej życie może być inspiracją dla wielu współczesnych. Pokazuje, jak stawiać czoła wszelkim przeciwnością i jak konsekwentnie dążyć do realizowania postawionych sobie celów. Dzięki swojej zaciętości i determinacji zdołała zawojować świat. Dlatego nikogo nie zdziwiło, że w 2011 roku Maria Skłodowska-Curie została wybrana w prestiżowym konkursie zorganizowanym przez Muzeum Historii Polski i czasopismo „Mówią Wieki” Polką wszech czasów. Niniejszy artykuł omawia mniej znaną wizytę Marii Skłodowskiej-Curie w 1925 roku w Czechosłowacji.

Wizyta Marii Skłodowskiej-Curie w Czechosłowacji w 1925 roku odbyła się na zaproszenie rządu czechosłowackiego, przy okazji jej podróży do Polski, gdzie między innymi 7 czerwca 1925 roku wzięła udział w uroczystości wmurowania kamienia węgielnego pod budowę Instytutu Radowego w Warszawie. Była to pierwsza wizyta Marii Skłodowskiej-Curie na ziemiach cze-

skich, choć nie pierwsze zaproszenie. Już w 1912 roku została jako jeden z czołowych zagranicznych gości zaproszona na VI Międzynarodowy Kongres Elektrologii i Radiologii Ogólnej i Lekarskiej, który odbywał się w Pradze. Niestety Maria Skłodowska-Curie nie wzięła udziału w kongresie i usprawiedliwiła się z powodów zdrowotnych.

ZAPROSZENIE DO CZECHOSŁOWACJI

Zaproszenie Marii Skłodowskiej-Curie do odwiedzin Czechosłowacji w 1925 roku zostało wystosowane w imieniu rządu czechosłowackiego i przekazane jej drogą dyplomatyczną, listem z 30 marca 1925 roku.

Zaproszenie przyjęła bardzo chętnie, ponieważ już wcześniej pragnęła odwiedzić



Maria Skłodowska-Curie w Pradze. Po prawej stronie profesorowie: Rudolf Jedlička i dalej w kapeluszu Julius Stoklasa. Źródło: Musée Curie.

miasto Jachymów, skąd wraz z mężem otrzymywali blendę smolistą (blendę uranową), z której wcześniej wyekstrahowano już uran używany do barwienia szkła i porcelany. I właśnie frakcjonowaniem jachymowskiej blendy uranowej małżonkowie Curie odkryli i wyizolowali nowe pierwiastki: polon i rad. W sumie w latach 1898–1908 otrzymali ponad 20 ton blendy uranowej z Jachymowa.

Ustalono, że wizyta odbędzie się podczas jej powrotu z Warszawy. Dalej Maria Skłodowska-Curie zgodziła się na zakwaterowanie w sanatorium w Podol (wolała je od hotelu w centrum Pragi). W Jachymowie chciała pozostać dłużej niż jeden dzień i dlatego postanowiła przedłużyć pobyt w Czechosłowacji z pierwotnie planowanych trzech dni do czterech. Z radością przyjęła również towarzystwo w roli przewodnika Františka Běhouнка (1898–1973), który odbył pod jej nadzorem roczny staż w Instytucie Radowym w Paryżu.



Blendą smolistą (uranową) z Jachymowa. Źródło: Wikipedia.

O wizycie Marii Skłodowskiej-Curie w Czechosłowacji z dużym wyprzedzeniem i uwagą informowała prasa, między innymi *Lidové noviny*, *České slovo*. Prasa zamieszczała też krótkie notki na temat pobytu Marii Skłodowskiej-Curie w Polsce.

Podczas wizyty w 1925 roku w Czechosłowacji Maria Skłodowska-Curie miała 57 lat i była już dwukrotną laureatką Nagrody Nobla oraz członkinią wielu akademii i towarzystw naukowych na całym świecie, w tym Czeskiej Akademii Nauk i Sztuki (od 1908 roku) oraz Towarzystwa Czechosłowackich Matematyków i Fizyków (od 1923 roku). Takie atrybuty naukowej wybitności, przynależne dodatkowo kobiecie, oraz historyczny związek wczesnych badań nad promieniotwórczością z ziemiami czeskimi (z Jachymowem), który reprezentowała, wyjaśniają i uzasadniają zainteresowanie czeskich kręgów naukowych i szerszej opinii publicznej, z jakim przygotowywano i śledzono jej wizytę w Czechosłowacji. Maria Skłodowska-Curie jednak poprosiła o ograniczenie wszelkich formalności do minimum. Jej wizyta miała mieć ściśle naukowy charakter, z tym wyjątkiem, że pobyt w Jachymowie miał być dla niej jednocześnie krótkim odpoczynkiem po intensywnym programie w Polsce.

Wizyta Marii Skłodowskiej-Curie w Czechosłowacji odbyła się w dniach 14–18 czerwca 1925 roku. Przebywała w Czechosłowacji łącznie 4 dni jako gość rządu czechosłowackiego. Organizację jej wizyty powierzono Ministerstwu Robót Publicznych (sprawowało kopalnie uranu w Ja-



KRÓTKA BIOGRAFIA MARII SKŁODOWSKIEJ-CURIE

Maria Skłodowska-Curie urodziła się 7 września 1867 roku w Warszawie. Jej ojciec Władysław był nauczycielem fizyki i matematyki w szkołach średnich, matka Bronisława z Boguskich była przełożoną pensji dla dziewcząt. W 1883 roku ukończyła III Gimnazjum Żeńskie w Warszawie. Potem przez dwa lata kontynuowała naukę w nielegalnym Uniwersytecie Latającym. W 1886 roku objęła posadę guwernantki na wsi w okolicach Płocka. Zarabiała na swoje utrzymanie, a także pomagała finansowo starszej siostrze Broni, która pierwsza wyjechała do Paryża, żeby studiować medycynę na Sorbonie.

Po powrocie do Warszawy w 1889 roku korzystając z laboratorium Muzeum Przemysłu i Rolnictwa uzupełniała wiedzę z chemii i fizyki. Przeszła tam dogłębny kurs analizy chemicznej, co później odegrało rolę w badaniach rud promieniotwórczych.

W listopadzie 1891 roku Maria Skłodowska wyjechała do Paryża i rozpoczęła studia na Sorbonie. Finansowo wspierała ją siostra Bronia. Już półtora roku po przyjeździe do Paryża, w lipcu 1893 roku, uzyskała licencjat nauk fizycznych. Rok później otrzymała licencjat nauk matematycznych.

W 1894 roku Maria Skłodowska poznała o 8 lat starszego fizyka francuskiego Pierre Curie. 26 lipca 1895 roku wyszła za niego za mąż przyjmując obywatelstwo francuskie.

W grudniu 1897 roku opracowała rozprawę dyplomową na temat właści-



Maria Skłodowska-Curie przed fabryką farb uranowych i radu w Jachymowie w towarzystwie Jana Aurea (pierwszy z lewej) i Františka Běhounka (drugi z lewej). Źródło: Musée Curie.

chymowie i tamtejszą fabrykę farb uranowych i radu oraz Państwowy Instytut Radiologiczny w Pradze) wspólnie z Ministerstwem Zdrowia Publicznego i Wychowania Fizycznego (odpowiedzialnym za uzdrowisko w Jachymowie).

MARIA SKŁODOWSKA-CURIE W PRADZE

Na czas całej wizyty w Czechosłowacji Marii Skłodowskiej-Curie przydzielono jako przewodnika Františka Běhounka, który czekał na w zacnego gościa na przejściu granicznym w Piotrowicach koło Karwiny, na granicy polsko-czechosłowackiej. Z Piotrowic przez Bogumín towarzyszył jej w podróży do stolicy Czechosłowacji.

W jego towarzystwie Maria Skłodowska-Curie przybyła w niedzielny poranek 14 czerwca 1925 na dworzec Wilsona w Pradze. Tam odbyło się uroczyste powitanie z udziałem przedstawicieli odpowiednich ministerstw (Ministerstwa Robót Publicznych, Ministerstwa Zdrowia, Ministerstwa Szkolnictwa), urzędów dyplomatycznych (ambasadorowie Francji i Polski w Czechosłowacji), uczelni wyższych, instytutów naukowych, stowarzyszeń i prasy. Warto wymienić przedstawicieli z Uniwersytetu Karola: profesor Rudolf Jedlička, z politechniki: profesor Julius Stoklasa, z ambasady polskiej: attaché Zdzisław Szczerbiński, z konsulatu polskiego: konsul Alexy Dunajewski, z Klubu Czesko-Polskiego: František Vondráček oraz z Akademickiego Koła Przyjaciół Polski: Vilém Michl.

Zgodnie z prośbą Marię Skłodowską-Curie zakwaterowano w pokojach gościnnych

prywatnego Sanatorium Praskiego w dzielnicy Pragi Podolí.

Po popołudniowym zwiedzaniu stolicy (w towarzystwie przedstawicieli ministerstw odpowiedzialnych za organizację wizyty) wieczorem 14 czerwca 1925 minister robót publicznych Alois Srba, pod którego kompetencje podlegała administracja uranowych kopalń w Jachymowie, tamtejsza fabryka barwników uranowych i radu oraz Państwowy Instytut Radiologiczny w Pradze, zorganizował na cześć słynnej badaczki, dwukrotnej laureatki Nagrody Nobla uroczystą kolację w Sali Juliusa Grégra w Miejskim Domu Reprezentacyjnym w Pradze.

Wzięli w niej udział między innymi Václav Girs z Ministerstwa Spraw Zagranicznych (z wykształcenia lekarz, od 1926 roku ambasador Czechosłowacji w Polsce), ambasadorowie Francji i Polski w Czechosłowacji (panowie F. Couget i Zygmunt Lasocki), z Ministerstwa Robót Publicznych Oskar Mayer i Jaroslav Čech, z Ministerstwa Zdrowia Publicznego Miroslav Čermák, z Ministerstwa Szkolnictwa Miloslav Valouch (starszy), z rady miejskiej Pragi L. Vaněk, profesorowie czeskich uczelni wyższych: Julius Stoklasa, Rudolf Jedlička, Cyril Purkyně i Emil Votoček, z Klubu Czesko-Polskiego František Vondráček, przedstawiciele prasy i ruchu kobiecego.

Następnego dnia (15 czerwca 1925) Maria Skłodowska-Curie zwiedziła radiologiczne pracownie badawcze w Sanatorium Podolskim – Państwowy Instytut Radiologiczny, który F. Běhounek budował według wzoru paryskiego Instytutu Radowego, w którym odbywał roczny staż w latach

wości magnetycznych hartowanej stali i ogłosiła swoją pierwszą pracę naukową na ten właśnie temat.

12 września 1897 roku urodziła swą pierwszą córkę, Irenę. Postanowiła kontynuować karierę badaczki i rozpoczęła badania zjawiska, które sama nazwie radioaktywnością. Przy pomocy czułego elektrometru przeprowadziła systematyczne badania dostępnych minerałów, skał i innych substancji. Okazało się, że natężenie promieniowania w różnych minerałach zawierających uran nie jest proporcjonalne do zawartości tego pierwiastka. Na tej podstawie Maria Skłodowska-Curie wysunęła śmiałą hipotezę, że istnieje nowy, nieznany pierwiastek promieniotwórczy. Ponadto, dzięki systematycznym badaniom stwierdziła, że promieniotwórczość wykazuje także tor.

Po tym odkryciu małżonkowie Curie rozpoczęli wspólnie poszukiwania nowego pierwiastka promieniotwórczego. W 1889 roku, po długiej i męczącej pracy w blendzie uranowej z kopalni w Jachymowie, odkryli dwa dalsze promieniotwórcze pierwiastki: polon, nazwany tak na cześć ojczyzny Marii, oraz rad.

W okresie, w którym kobiety miały trudności w dostaniu się na wyższe uczelnie i kiedy odmawiano im wielu praw, zwłaszcza uczestniczenia na równi z mężczyznami w naukach ścisłych, wielu ludziom wydawało się mało prawdopodobne, by wspaniałe pomysły systematycznego badania promieniotwórczości mógł się zrodzić w głowie młodej badaczki przybyłej z Polski. Wśród Francuzów częste było wtedy przekonanie, że to wybitny uczony Pierre Curie podsunął żonie temat badań i czuwał nad nimi, Marii pozostawiano w zasadzie tylko rolę pomocniczą.

Jednak wszystkie znane fakty świadczą o tym, że jest to przekonanie nieprawdziwe i niesprawiedliwe. Maria Skłodowska-Curie, według powszechnej opinii niezwykle skromna, a przy tym kochająca żona, niemal zawsze podkreślała, że odkrycia w dziedzinie promieniotwórczości są wspólnym dziełem jej i męża. Z jednym wyjątkiem: właśnie gdy chodziło



Kompleks hotelowy Běhounek i Curie w Jachymowie. Foto: Roman Strzodała.

1920–1921 i do którego później często, choć na krótko, wracał.

Następnie odwiedziła Instytut Produkcji Roślinnej i Agrochemii przy Czeskiej Wyższej Szkole Technicznej prowadzony przez wybitnego specjalistę w dziedzinie radiobiologii, członka kolegium naukowego Państwowego Instytutu Radiologicznego, profesora Juliusa Stoklasę (1857–1936). Maria Skłodowska-Curie bardzo interesowała się wszystkimi badaniami prowadzonymi przez Stoklasę i jego współpracowników nad wpływem promieniotwórczości na organizmy roślinne i zwierzęce. Szczególnie interesował ją wpływ radioaktywnych wód z Jachymowa na wzrost roślin oraz wpływ radioaktywnych izotopów i promieniotwórczości środowiska naturalnego na organizmy żywe, szczególnie na roślinność. Według ówczesnej prasy zacny gość bardzo pochlebnie wypowiedział się o wspomnianych eksperymentach, mówiąc, że są to *badania o doniosłym znaczeniu dla poznania przemiany materii i energii w komórkach chlorofilowych oraz samego chlorofilu*.

Na zakończenie dnia Maria Skłodowska-Curie w towarzystwie F. Běhounka została zaproszona przez prezydenta republiki T. G. Masaryka do letniej rezydencji w zamku w Láňach na uroczystą kolację. W kolacji uczestniczyła również córka prezydenta Alice Masaryková. Polska uczona w Láňach pozostała na noc i rano następnego dnia (16 czerwca 1925) wraz z swoim przewodnikiem wyjechała z Láň do Jachymowa.

Wizyta Marii Skłodowskiej-Curie w Láňach i przyjęcie przez prezydenta T. G. Masaryka zostały udokumentowane kilkoma ujęciami

mi filmowymi. Na filmowych materiałach zarejestrowano przyjazd Marii Skłodowskiej-Curie i F. Běhounka do głównego wejścia do zamku 15 czerwca 1925 roku o godzinie 18:30 oraz następnego dnia (16 czerwca 1925) o godzinie 9:15 ich pożegnanie z prezydentem Masarykiem przy wejściu do zamku, wsiadanie do pociągu na przejażdżkę po zamkowym parku, a następnie odjazd samochodem do Jachymowa. Kopia jednej z kilku kolejnych wersji filmu zachowała się w zasobach Narodowego Archiwum Filmowego w Pradze.

POBYT W JACHYMOWIE

W dniach 16–17 czerwca 1925 roku Maria Skłodowska-Curie, w towarzystwie F. Běhounka, J. Stoklasy, profesora Rudolfa Jedličky (1869–1926), wybitnego chirurga i zapalonego propagatora rentgenologii i radiologii w Czechach, oraz amerykańskiego radiologa czeskiego pochodzenia Aloisa F. Kovaříka, profesora Uniwersytetu Yale, odwiedziła Jachymów i Karlowe Wary. W Jachymowie została serdecznie przywitana przez przedstawicieli ministerstw, powiatu, zarządu kopalń oraz kierownictwa uzdrowiska w holu hotelu Radium Palace – na owe czasy architektonicznie nowoczesnego budynku otwartego w 1912 roku. Uzdrowisko Jachymów jako pierwsze uzdrowisko na świecie zaczęło w 1906 roku wykorzystywać kąpiele w wodzie radonowej.

Z dużym zainteresowaniem zwiedziła najstarszą na świecie fabrykę produkującą od 1856 roku barwniki uranowe i sole radu, która podczas II wojny światowej została

o sam pomysł zajęcia się promieniotwórczością. Nie ma więc powodu, żeby odmawiać Marii Skłodowskiej-Curie samodzielności w podjęciu decyzji, która przyniosła wyniki tak przełomowe dla nauki.

W czerwcu 1903 roku Maria Skłodowska-Curie obroniła na Sorbonie swoją rozprawę doktorską – uczyniła to jako pierwsza kobieta we Francji. W tymże roku państwo Curie wraz z Becquerellem zostali laureatami Nagrody Nobla z fizyki za badania nad promieniotwórczością.

W dniu 19 kwietnia 1906 roku Pierre Curie zginął tragicznie pod kołami rozpędzonego ciężkiego furgonu, kiedy zamyślony przechodził na drugą stronę ulicy. Maria została sama z dwiema córkami: dziewięcioletnią Ireną i dwuletnią Ewą. Na tą tragedię nałożyły się ataki niektórych uczonych, że rad nie jest wcale pierwiastkiem.

Wobec osobistej tragedii Maria Skłodowska-Curie nie była w stanie włączyć się do tej dyskusji, ale zrozumiała, że takie ataki mogą się jeszcze powtarzać, więc jedyną odpowiedzią powinno być otrzymanie radu metalicznego. Po kilku latach wyteżonych badań, prowadzonych ze swym asystentem André Debiernem, dokonała tego w 1910 roku. W tym samym roku wydzieliła także polon w ilości wystarczającej do udowodnienia na postawie analizy widmowej, że jest to także pierwiastek.

W dniu 5 listopada 1906 roku Maria Skłodowska-Curie jako pierwsza kobieta zaczęła wykłady na Sorbonie. Pierwszy wykład wzbudził ogromne zainteresowanie, a sala wykładowa była wypełniona słuchaczami do granic możliwości. W 1908 roku jako pierwsza kobieta została mianowana profesorem zwyczajnym Sorbony. W 1911 roku za badania radu i wyznaczenie jego ciężaru atomowego otrzymała drugą Nagrodę Nobla tym razem z chemii. W tymże roku jako jedyna kobieta została imiennie zaproszona do udziału w Kongresach Solvaya, ekskluzywnych konferencjach skupiających każdorazowo około dwudziestu najwybitniejszych fizyków i chemików świata. W 1914 roku jako pierwsza kobieta została dyrektorem dużego



Podpis Marii Skłodowskiej-Curie w Księdze Pamiątkową Państwowej Fabryki Uranu i Radu w Jachymowie.
Foto: Roman Strzondała.

całkowicie zniszczona. Maria Skłodowska-Curie interesowała się wszystkim, między innymi również elektrolityczną produkcją polonu.

Podczas jej wizyty konsultowano z nią wiele zagadnień naukowych, między innymi zagadnienia technologiczne dotyczące izolowania jonium z produktów ubocznych podczas produkcji farb uranowych i radu. Tak nazywano wówczas radioaktywny izotop toru. Dla zakładu w Jachymowie jonium wydawało się interesujące ze względu na możliwość jego wykorzystania w medycynie (na przykład do leczenia chorób skóry), kosmetyce czy w produkcji substancji świecących. Farbami radioluminescencyjnymi interesowała się szczególnie Czesosłowacka Armia. Usiłowała o krajową produkcję świecących tarcz wskaźników do samolotów i dział, gdzie dotychczas używano mezotoru importowanego z Niemiec.

Maria Skłodowska-Curie poprosiła o dostarczenie do celów naukowych 2 kilogramów możliwie skoncentrowanej rudy uranowej z Jachymowa. Obiecane dostawy wszystkich żądanych przez noblistkę materiałów zostały zrealizowane stopniowo w latach 1925 i 1926. Dla zakładu w Jachymowie była to całkiem dobra inwestycja, ponieważ w zamian otrzymali profesjonalnie wykonane analizy tych materiałów, ważne dla dopracowania istniejących technologii produkcji radu oraz dla potencjalnych planów uruchomienia produkcji innych pierwiastków promieniotwórczych.

Z okazji wizyty Marii Skłodowskiej-Curie w Jachymowie założono Księgę Pamiątkową Państwowej Fabryki Uranu i Radu. Na stronie tytułowej z ozdobnym dedyko-

wanym wpisem *Ku czci znamienitej wizyty Mme M. Curie Skłodowskiej, sławnej odkrywczyni radu, 16/VI/25* znajduje się podpis Marii Skłodowskiej-Curie. Dziś można ją widzieć w muzeum w Jachymowie.

Po południu program został urozmaicony wycieczką na górę Klínovec. Wieczorem odbyła się kolacja na cześć Marii Skłodowskiej-Curie, z udziałem burmistrzów Jachymowa i Karlowych Warów, dyrektora uzdrowiska Jáchymov doktora Antonína Staucha oraz dyrektora fabryki radu inżyniera Kačetána Hummela.

PODWÓJNA NOBLISTKA ZJECHAŁA DO KOPALNI

17 czerwca 2025 Maria Skłodowska-Curie odwiedziła kopalnię i urządzenia wydobywcze w Jachymowie. Zwiedziła sortownię rudy i na wyraźne życzenie zjechała do kopalni Svornost, uprzednio otrzymawszy niezbędny strój górniczy i podpisawszy oświadczenie, że zjazd odbywa na własne ryzyko. Zwiedziła dwunaste piętro, gdzie właśnie odkryto dużą żyłę o wysokości 4 metrów i średnicy 25 centymetrów, którą za jej zgodą nazwano jej imieniem i z której подарowano jej fragment na pamiątkę.

Pierwszy czeski kierownik kopalni *Svornost*, inżynier Jan Auer, który towarzyszył jej podczas wizyty w szybie, później wspominał, jak bardzo słynna uczona interesowała się szczegółami dotyczącymi górnictwa w Jachymowie. Opisał również, że z górnikami umówili się, że będą Marię Skłodowską-Curie pozdrawiać jedynie słowami *Zdarbůh* (*Szczęść Boże*). Wspominał, że powitał ją po czesku, a ona odpo-

z Zakładu naukowego – Laboratorium Curie w Instytucie Radowym w Paryżu. W tym instytucie dokonano wielu znakomitych odkryć, a córka Irena i jej mąż Frédéric Joliot odkryli sztuczną promieniotwórczość i otrzymali za to Nagrodę Nobla z chemii w 1935 roku. Podczas I wojny światowej zorganizowała i sama obsługiwała ruchome stacje rentgenowskie objeżdżające szpitale przyfrontowe.

Maria Skłodowska-Curie jako jedyna kobieta była członkiem Komisji Współpracy Intelktualnej przy Lidze Narodów. Cieszyła się ogromnym szacunkiem. Kiedy 4 lipca 1934 roku w wieku 67 lat zmarła, cały świat naukowy został pogrążony w żałobie.

Podkreślić należy fakt, że wymienione sukcesy osiągnęła kobieta i pamiętać trzeba, że kobiety w 2. połowie XIX i na początku XX wieku, mimo postępującej emancypacji, nie miały łatwej drogi do zdobywania jakichkolwiek zaszczytów. Niemniej Maria Skłodowska-Curie przetarła drogę do sukcesu innym kobietom. Jej działalność naukowa sprawiła, że kobieta, która osiągnęła sukces, już nie szokowała społeczeństwa, a jej wyróżnienia już nie były czymś dziwnym czy wręcz niepożądanym.



Od czerwca 2025 Maria Skłodowska-Curie ma swój skwer w parku zdrojowym w Jachymowie.
Źródło: FB Instytutu Polskiego w Pradze.



W 1966 roku w Jachymowie odsłonięto pomnik ku czci małżeństwa Curie autorstwa Karla Lidického. Czytamy na nim: „W rudach z tego miejsca w 1898 roku Maria Curie Skłodowska i Pierre Curie odkryli pierwiastek radu służący życiu: dzięki górnikom i nauce źródła radowe i terapia radem przynoszą zdrowie tysiącom ludzi”. Foto: Roman Strzondała.

wiedziała mu po polsku. Później ich rozmowa przebiegała wyłącznie w tych językach. Dziś młody Polak i Czech dogadują się po angielsku. Ciekawe a może dziwne?

W południe odbył się wspólny obiad. Po nim wycieczka do Karlowych Warów w węższym gronie. Po powrocie do Jachymowa dzień zakończył się kolacją.

W Jachymowie między innymi Maria Skłodowska-Curie otrzymała rzadką niebieską różę, którą ktoś z trudem wyhodował. Nie była tym darem zbyt zachwycona i szczerze oświadczyła, że natury nie należy gwałcić. Poza tym Jachymów jako miasto bardzo jej się podobał, wysoko oceniła właściwości lecznicze wody radonowej i chwaliła poziom gościnności.

W czwartek 18 czerwca 1925 popołudniu nastąpił wyjazd samochodami do Mariańskich Łaźni. Po pobieżnym zwiedzeniu miasta podróż kontynuowano do Chebu, gdzie Maria Skłodowska-Curie wsiadła do pociągu ekspresowego do Paryża. Tym sa-



Ławka Marii Skłodowskiej-Curie.
Źródło: FB Instytutu Polskiego w Pradze.

mym jej wizyta w Czechosłowacji dobiegła końca.

Według relacji F. Běhouneka, który często jeździł do Laboratorium Curie paryskiego Instytutu Radowego, Maria Skłodowska-Curie bardzo chętnie wspominała swój pobyt w Czechosłowacji, serdeczne przyjęcie, jakiego doświadczyła ze strony prezydenta republiki i jego córki Alice. Żywo interesowała się sytuacją w Czechosłowacji, szkolnictwem, rozwojem badań naukowych, rozwiązaniem kwestii narodowościowej oraz innymi ówczesnymi, aktualnymi problemami.

ODDŹWIĘK POBYTU MARII SKŁODOWSKIEJ-CURIE W CZECHOSŁOWACJI

Serdeczne przyjęcie, jakie spotkało Marię Skłodowską-Curie w Czechosłowacji, odbiło się pozytywnym echem w Polsce i przyczyniło się do ocieplenia stosunków czechosłowacko-polskich. Ówczesna prasa polska w swoich doniesieniach podkreślała, że zasłużona polska uczona została w Pradze przyjęta bardzo serdecznie i wręcz z pompą. O wizycie Marii Skłodowskiej-Curie w Polsce i Czechosłowacji pojawiły się również wzmianki w prasie francuskiej.

Pobyt Marii Skłodowskiej-Curie w Czechosłowacji w roku 1925 wzmocnił istniejące kontakty naukowe i stał się impulsem do nawiązania wielu nowych. Z pewnością przyczynił się również do pozytywnej promocji Czechosłowacji – zarówno w Polsce,

jak i we Francji. Nawiązane kontakty naukowe z Laboratorium Curie były kontynuowane nawet po śmierci Marii Skłodowskiej-Curie i można było do nich nawiązać także w pierwszych latach po II wojnie światowej, kiedy to w Czechosłowacji rozpoczęto budowę instytutu naukowego zajmującego się badaniami w dziedzinie fizyki jądrowej.

OBCHODY W JACHYMOVIE

W czerwcu 2025 roku miasto Jachymów upamiętniło 100. rocznicę wizyty Marii Skłodowskiej-Curie konferencją naukową i okolicznościowym programem dla publiczności. Trzydniowy program połączył konferencję naukową, wystawy, wydarzenia dla publiczności oraz symboliczne przypomnienie dorobku tej wyjątkowej uczzonej.

Specjalnie na tę okazję Tomasz Pospieszny i Ewelina Wajs-Baryla przygotowali czesko-angielsko-polską publikację pt. „Jáchymov 1925–2025”.

Konferencja z udziałem międzynarodowych gości odbyła się 12 czerwca 2025 roku w hotelu Běhounek. Referaty specjalistów z Czech, Polski i Francji dotyczyły zarówno naukowego dziedzictwa Marii Skłodowskiej-Curie, jak i współczesnych zagadnień, takich jak wykorzystanie radonu w lecznictwie uzdrowiskowym, ochrona przed promieniowaniem czy historyczny rozwój wydobycia uranu.

Uczestnicy konferencji obejrzeli większość miejsc, które 100 lat temu odwiedziła również Maria Skłodowska-Curie. Wzięli udział w ponownym otwarciu pomnika odkrycia radu oraz w otwarciu skweru z ławką, tablicą pamiątkową i różami Marii Skłodowskiej-Curie.

Atrakcją był także przyjazd EduBusu Fundacji ORLEN Unipetrol, który prezentował turystom i mieszkańcom miasta ciekawe doświadczenia chemiczne i fizyczne.

* * *

Nie ulega wątpliwości, że Maria Skłodowska-Curie zajmuje w historii ludzkości miejsce niepowtarzalne i że jej rola w rozwoju nauki powinna być przy każdej okazji stawiana przed oczy całemu światu. Dodatkową okolicznością, potęgującą powszechny szacunek dla postaci Marii Skłodowskiej-Curie, jest jej wyjątkowa osobowość.



Na spacer po Darkowie zabrał mnie Piotr Sztuła – prezes tamtejszego Miejscowego Koła PZKO (fot. 12).

[12] Most, który w tym roku obchodzi jubileusz 100-lecia powstania. ▲

SPACERY ZWROTU Z PREZESAMI MIEJSCOWYCH KÓŁ PZKO:

DARKÓW

TEKST I ZDJĘCIA: BEATA INDI TYRNA



Spacer zaczynamy na granicy Frysztatu i Darkowa, przy przystanku autobusowym Karwina Frysztat, koło parku.

– Dojechać tutaj można autobusem linii 517 z Dworca Kolejowego w Karwinie. A jak ktoś chce samochodem, to tutaj ma też parking – wyjaśnia wstępnie mój przewodnik, po czym ruszamy w stronę Darkowa. – Idziemy ulicą Lazeńską, nazwa jest tylko czeska, nie

mamy tutaj dwujęzyczności urzędowej. W Darkowie są tylko trzy ulice: Lazeńska od uzdrowiska, Svornosti, oraz Karola Śliwki.

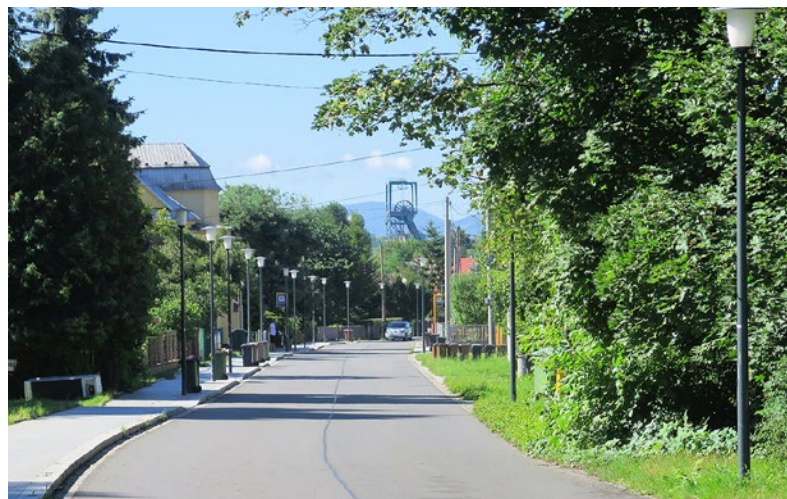
Pierwsze co widzimy, nie licząc ciągnącego się cały czas wzdłuż drogi po prawej stronie Parku Boženy Němcovej, to usytuowana po lewej stronie drogi (względem tego, jak idziemy) kapliczka. Ta jednak znajduje się jeszcze na terenie Frysztatu. Prezes

MK PZKO Darków wyjaśnia, że Park Boženy Němcovej jest na granicy Frysztatu i Darkowa, część jest we Frysztacie, a część w Darkowie. – A za nim jest tak zwana przystań, gdzie odbywają się m.in. „Dolańskie Grómy” – wyjaśnia.

– W tym miejscu kończy się ulica Karola Śliwki. Po prawej stronie mamy dalej wspominany park Boženy Němcovej. Ulica, na

[1] Stary młyn na pograniczu Darkowa i Frysztatu

[2] Widoczny na horyzoncie szyb wentylacyjny kopalni Darków





[3] Dawny komisariat policji



[4] Hotel Darków i dom, w którym mieszkała Bogdana Najder

którą wchodzimy, to właśnie Lazeńska. Dawniej była tu młynka. Tutaj, na pograniczu Darkowa i Frysztatu, jest stary młyn (fot. 1). Nazywa się Janeczków Młyn. Przed kilkoma laty został odnowiony. Teraz jest tam takie centrum szkoleniowe. Odbывают się tam różne sympozja, szkolenia, wybory itp. – mówi mój przewodnik. Informuje też, że właściwie dopiero teraz wchodzimy na teren Darkowa.

TU ZACZYNA SIĘ DARKÓW

– Na horyzoncie widoczna jest kopalnia Darków (fot. 2). Ale to jest szyb wentylacyjny, to nie ten główny szyb kopalni. Jest to taki symbol tego, co Darków właściwie, nie chcę powiedzieć zniszczyło, ale zmieniło... – mój przewodnik wskazuje na charakterystyczny element górniczego pejzażu

Idziemy cały czas prosto wzdłuż ulicy Lazeńskiej. Mój przewodnik wyjaśnia, że została ona niedawno cała odnowiona. Zrobiono nowe chodniki, nowe oświetlenie. Jest tu mnóstwo kolarzy, rolkarzy, zrobił się z tej części miasta teren ewidentnie rekreacyjny.

– To jest były budynek policji – mój przewodnik wskazuje na wyglądający na mię-

dzywojenny albo i przedwojenny budynek o charakterze willowym (fot. 3). – A w tym domu mieszka Pan Bruna. Jego syn jest trenerem reprezentacji Czech w piłce ręcznej – mój przewodnik wskazuje na jeden z wielu znajdujących się przy ulicy domów rodzinnych.

Dochodzimy do hotelu Darków (fot. 4). – W tym domu obok mieszkała Bogdana Najder – Sztuła wskazuje na sąsiedni budynek dodając, że znana na Zaolziu autorka i reżyserka teatru amatorskiego jest córką jego kuzyna.

– Naprzeciwko nas, po drugiej stronie ulicy, był kiedyś sklep tekstylny (fot. 5) – wskazuje. Mijamy kolejną czynną gospodę – Bar Laguna i nieistniejący już sklep z obuwiem, a dalej również niefunkcjonujący już sklep spożywczy. Mój przewodnik wskazuje też na jedną z odchodzących od głównej drogi przecznic informując, że tam właśnie mieszka.

TUTAJ URODZIŁ SIĘ I MIESZKAŁ KSIĄDZ JAN KRUCINA

– Tutaj urodził się i mieszkał ksiądz Jan Krucina – Sztuła wskazuje na jeden z domów. Ksiądz Jan Krucina urodził się w 1928

roku. Studiował na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu w Ołomuńcu. Po likwidacji wydziału przez komunistyczne władze Czechosłowacji pracował jako robotnik, technik budowlany i kierownik działu planowania i inwestycji w jednym z zakładów Zagłębia Ostrawskiego. Później przeniósł się do Wrocławia, gdzie uzupełnił studia teologiczne. Studiował też, a później wykładał na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim (KUL). Doktorat z filozofii obronił na podstawie pracy *Dobro wspólne jako zasada społeczna*.

Po lewej stronie widzimy krzyż. Jest bez żadnych inskrypcji i obtępiany.

DAWNA LINIA KOLEJOWA

– Tędy kiedyś prowadziły tory kolejowe z Frysztatu do starej Karwiny, a tu był przystanek – mój przewodnik wskazuje na wjazd do prywatnej wiaty garażowej (fot. 6). Na płocie zamontowano tablicę informacyjną ścieżki edukacyjnej. Przeczytamy na niej (w języku czeskim): *Dom rodzinny nr 39, przed którym właśnie stoisz, był dawniej przystankiem kolejowym Darków-Uzdrowsko, na którym aż do roku 1960 wysiadali kuracjusze. Od przystanku tory kolejowe biegły dalej nasypem w kierunku rzeki Olzy,*

[5] Dawny sklep tekstylny



[6] Tu był przystanek na linii kolejowej ze Starej Karwiny





[7] Dom rodzinny który był dawniej stacją kolejową



[8] Kaplica świętej Anny

dalej przez most do Karwiny Kopalni. Na tablicy umieszczono także archiwalne zdjęcie budynku stacji z lat 60. XX wieku (fot. 7).

KAPLICA ŚWIĘTEJ ANNY

Kawałek dalej skręcamy w lewo, do parku zdrojowego, gdzie pierwszym rzucającym się nam w oczy, widocznym już od drogi głównej budynkiem jest kaplica świętej Anny (fot. 8). – W dzieciństwie tutaj chodziliśmy do kościoła – wspomina mój przewodnik.

Obok kaplicy ustawiona jest figura przedstawiająca Matkę Boską.

– A ten pomnik (fot. 9) był przeniesiony z pierwotnego miejsca w związku z budową obwodnicy Karwiny. Jest to pomnik obywateli Darkowa poległych w pierwszej i drugiej wojnie światowej. Później pokażę, gdzie był wcześniej. Z kolei tutaj jest fajny park, do którego też jeszcze przyjdziemy pod koniec naszego spaceru – zapowiada mój przewodnik.

IDĄC GŁÓWNĄ ULICĄ PRZEZ DARKÓW

– W tamtym budynku z nazwą „Hubertus” (fot. 10) kiedyś mieszkał dyrektor Uzdrowi-

ska. Teraz mieszkają tu pacjenci. A w tym od kilkudziesięciu już lat nieużywanym budynku było kiedyś uzdrowisko dziecięce. Nie wiemy, czy w ogóle są jakieś plany na jego wykorzystanie. Bo ciągle to wszystko należy do Uzdrowiska. – wyjaśnia mój przewodnik.

Po lewej stronie widzimy kolejny budynek należący do kompleksu sanatoryjnego. Obecnie jest to dom opieki „Alzheimer”. Już sama nazwa wyjaśnienie, co się w nim mieści. Mój przewodnik natomiast wspomina, że niegdyś, jeszcze w 70-tych latach wszystkie te budynki należały do Uzdrowiska Darków. Natomiast obecnie właściciele sporą część terenu sanatorium łącznie z częścią parku wynajęli na 25 lat na potrzeby domu opieki. Wyjęta część jest ogrodzona i niedostępna zarówno dla kuracjuszy, jak i mieszkańców Darkowa.

ZABYTKOWY MOST, KTÓREMU WŁAŚNIE „STUKNĘŁA” SETKA

– Tu, gdzie jest napis „repcja” (fot. 11), był kiedyś fryzjer. Tam chodziłem jako dziecko do strzyc włosy. W budynku funkcjonuje kawiarnia, ale otwarta jest tylko w weekendy, jak jest ruch. Bo jak mówiłem, tu w so-

botę, niedzielę jest pełno – stwierdza darkowianin, wyjaśniając, że znajdujemy się w takim głównym punkcie Darkowa.

– W Darkowie są dwa centra. Jedno jest przed mostem, drugie za mostem – mój przewodnik wskazuje na bodaj największą architektoniczną perelkę zabytkowego Darkowa – most, który w tym roku obchodzi jubileusz 100-lecia swojego powstania (fot. 12, str. 44).

– Jesteśmy przy Darkowskim Moście, który w tym roku kończy 100 lat. Obecnie jest na nim rusztowanie, bo jeszcze naprawiają go na ostatnią chwilę przed planowanym na wrzesień uroczystym odświeżeniem po odnowieniu. Płyne tutaj rzeka Olza. Rzeka Olza dzieliła Darków zawsze, już od pierwszego momentu, kiedy jest pierwsza wzmianka o Darkowie roku 1268, na dwie części. Była zawsze granicą dzielącą Darków na prawą i lewą część. Z tym, że po prawej stronie Darkowa zostało właściwie z drobnymi zmianami wszystko tak samo, jak było w połowie XX wieku. A lewa strona, gdzie zaraz pójdziemy, obecnie wygląda zupełnie inaczej – mówi.

Wyjaśnia, że w 1869 został tu wybudowany drewniany most, wcześniej Darków łączył tylko bród. Kiedy przed około 150 laty



[9] Pomnik obywateli Darkowa poległych w pierwszej i drugiej wojnie światowej



[10] Budynek, w którym dawniej mieszkał dyrektor Uzdrowiska



[11] Dziś w budynku dawnej recepcji działa kawiarnia czynna tylko w weekendy



[13] Widok na rzekę Olzę z darkowskiego zabytkowego mostu

zaczęło się rozwijać uzdrowisko, pojawiła się potrzeba wybudowania nowego mostu. – Został otwarty w 1925 roku. Jest długi 56 metrów, jego szerokość wynosi 5,6 metra, a wysokość obłąków 6,25 metra. Do jego budowy użyto 60 ton żelaza, 400 metrów sześciennych betonu, tyle samo drewna i 30 ton cementu – mój przewodnik odczytuje dane z przygotowanej ściągawki. Dodaje, że wtedy, gdy go wybudowano, był bardzo nowoczesny.

– Po otwarciu nazywał się most Tomáša Garrigue Masaryka, ale na końcu 40-tych lat zeszłego wieku, czyli po wojnie, oczywiście musiało tam być coś innego. Nadano mu nazwę „Most sokolovských hrdinů” – bohaterów poległych w bitwie pod Sokółowem – wyjaśnia.

– Dla nas, dla mieszkańców Darkowa, było wielkim plusem, że w roku 2004 odbył się wielki remont tego mostu. Remontowano go z powodu tego, że w związku z budową wałów przeciwpowodziowych Olza się zwięźała do 50 metrów, most wtedy został podniesiony o 2 metry. Poza tym jest identyczny, jak 100 lat temu, tylko hydraulicznie został podniesiony o wspomniane 2 metry w górę, żeby było pod nim miejsce, żeby woda miała gdzie płynąć, gdy jej poziom

wzrośnie. Zresztą podczas ostatniej powodzi, sięgała chyba ze 30 cm pod nim. I co nas, jako mieszkańców prawej strony Darkowa, bardzo ucieszyło, to fakt, że most po tamtym remoncie został zamknięty dla ruchu samochodowego. Wcześniej, do 2004 roku, była to jedna z dwóch dróg dla samochodów – i osobowych, i ciężarowych – na Cieszyn, Stonawę, Łąki. Tu był przystanek autobusowy. Kiedy jeździliśmy do gimnazjum do Cieszyna, to tu wsiadaliśmy do autobusu. A teraz droga kończy się dla samochodów ślepo rondem przed mostem. Dalej, przez most, można przejechać jedynie rowerem lub przejść pieszo. I dzięki temu nasza część Darkowa stała się oazą spokoju – cieszy się mój przewodnik.

Dodaje, że Darków teraz dzieli nie tylko rzeka Olza, ale i obwodnica Karwiny. Są to dwie zupełnie inne części Darkowa. – Ale obwodnica Karwiny była rzeczywiście potrzebna – zauważa.

– Teraz stoimy na takim skrzyżowaniu, gdzie kończy się droga od Frysztatu, z prawej strony przyjeżdża szlak rowerowy z Piotrowic, Dzieńmorowic, Zowady, Gołkowic po polskiej stronie. A za mostem jest szlak rowerowy, który wiedzie do Cieszyna – opisuje węzeł szlaków rowerowych mój prze-

wodnik, który sam sporo jeździ na rowerze i często z nich korzysta.

Wchodzimy na most, z którego roztacza się piękny widok na rzekę Olzę (fot. 13). Mój przewodnik informuje, że w latach 60-tych zmieniono nieco bieg Olzy, a z jej starego koryta jest teraz jezioro, które jest w parku Bożeny Němcovej. Z wzniesionych wzdłuż jej brzegów wałów przeciwpowodziowych, wał na prawym brzegu jest wyższy, aniżeli ten na lewym, co bardzo cieszy mieszkańców z prawobrzeżnej części Darkowa. Gdy Olza wylewa, to zalewane są tereny na jej lewym brzegu, gdzie obecnie nie ma już niemal żadnych zabudowań. – Tam jest tylko jeden dom rodzinny. Reszta to tylko ogródki działkowe – precyzuje mój przewodnik.

Przy okazji ubolewa jednak nad bezsensownością planistycznej zarządcy dróg i autostrad. – Projekt był sporządzony 15 lat wcześniej, aniżeli obwodnicę faktycznie wybudowano. I tak, jak zakładał stary projekt, bariery przeciwdźwiękowe zamontowano po tej stronie obwodnicy, po której obecnie nie ma żadnych zabudowań a tam, gdzie jest obszar chroniony uzdrowiska, barier nie ma... A przecież koszt ich zamontowania byłby dokładnie taki sam... – ubolewa mieszkaniec Darkowa.

[14] Podziemny przejazd drożki pieszo-rowerowej pod obwodnicą



[15] Miejsce, w którym pierwotnie znajdował się pomnik ofiar obu wojen światowych





[16] Tu był kiedyś sklep samoobsługowy



[17] Tu była znana restauracja „U Sznapki”

TU BYŁO...

Przechodzimy przez zabytkowy most do lewobrzeżnej części Darkowa. – *To dawna główna droga na Cieszyn* – mój przewodnik wskazuje na podziemny przejazd dróżki pieszko-rowerowej pod obwodnicą (fot. 14). – *A tutaj pierwotnie stał ten przeniesiony do parku pomnik ofiar wojen światowych* – dodaje wskazując konkretne miejsce na pustym trawniku (fot. 15). Wyjaśnia, że tutaj, gdzie teraz nie ma niczego, było wspomniane drugie, lewobrzeżne centrum Darkowa. – *Tu, gdzie widać te kamienie tworzące nasyp obwodnicy* (fot. 16), *był kiedyś sklep samoobsługowy. A tam była znana restauracja „U Sznapki”* (fot. 17). *Tam na lewo, gdzie są drzewa, było kino, a za nim był bowling. Na prawo było przedszkole, do którego chodziłem, i poczta. Tam był drugi sklep spożywczy. No i wszędzie były tutaj domy* – wylicza Sztuła wyjaśniając, że tak było tu jeszcze w latach 80. XX wieku. – *Kiedy przyjechała tu moja kuzynka z Polski, była w szoku, nie wiedziała gdzie jest. Powiedziała, że gdybym ją zostawił za tym tunelem, to nie wiedziałaby, jak trafić z powrotem... Tunel był budowany, żeby było połączenie Darkowa z Karwińskim Morzem po wybudowaniu obwodnicy* – wyjaśnia mój

przewodnik. Zauważa, że na początku, gdy zbiornik powstał, nazywano go Darkowskie Morze. Dopiero później przemianowano go na Karwińskie Morze.

Po wyjściu z tunelu skręcamy w prawo. Przechodzimy mostkiem przerzuconym przez wypływającą z Karwińskiego Morza Młynkę (fot. 18) i wychodzimy na górę, na szosę prowadzącą ze Stonawy ku obwodnicy Karwiny. – *Tam mniej więcej, gdzie ta tablica, czyli na środku obecnej dwupa-*

smówki (fot. 19), *było boisko szkolne. No i tu wszędzie były domki* – wspomina.

Po wyjściu na górną szosę skręcamy w prawo. Droga ta prowadzi do biegnącej nieopodal obwodnicy Karwiny. My jednak już po 100 metrach przechodzimy na jej drugą stronę skręcając w lewo (fot. 20).

– *Tu był kiedyś dom obok domu... Skrzyżowanie ulic zostało, tylko teraz ulice prowadzą donikąd...* – mówi mój przewodnik, gdy stoimy w miejscu, w którym rozstają się



[18] Młynka

[19] Mniej więcej tam, gdzie widoczna jest tablica, czyli na środku obecnej dwupasmówki, było boisko szkolne



[20] Droga prowadząca do opustoszałej dziś części Darkowa





[21] Za tym parkingiem był dom robotniczy

drogi Stonawa – obwodnica Karwiny i na Bogumin, dodając, że stoimy „na dachu” przedszkola, którego jest absolwentem.

Przechodzimy na drugą stronę szosy do ślepej ulicy. – Tu było drugie, mniejsze centrum lewobrzeżnej części Darkowa – mój przewodnik wskazuje na resztki betonowego parkingu przed pustą łąką (fot. 21).

– Tu w prawo była ochotnicza straż pożarna. Za tym parkingiem był bardzo znany Dom Robotniczy w Darkowie. Z tej strony był



[23] Prezes MK PZKO Darków przed miejscem, w którym niegdyś stał Dom PZKO

front budynku z dużą salą, wielkim ogrodem, w którym odbywały się festyny, wianki, imprezy PZKO-wskie: nasze bale dawkowskie itp. Dom Robotniczy był jednopiętrowym budynkiem. A tutaj był ośrodek zdrowia i komunistyczny ośrodek agitacyjny. No i wszędzie były domy. To z kolei dawna szkoła podstawowa dla klas 1–5 (fot. 22). Ja jeszcze chodziłem do tej podstawówki. Później jeszcze przez jakiś czas funkcjonowała tutaj średnia szkoła dla pracowników ochrony. A obecnie budynek nadaje się już tylko do rozbiórki – stwierdza.

TUTAJ BYŁ DOM PZKO

– A tutaj był nasz Dom PZKO – prezes MK PZKO wskazuje na kolejną pustą łąkę (fot. 23). – Ten dom nie był nasz. Właścicielem obiektu była spółka OKD. Tak więc byliśmy tu na zasadzie wynajmu, ale na dogodnych warunkach, więc nam to nie przeszkadzało. Organizowaliśmy tu różne imprezy. Działy tu zespoły taneczny i teatralny, chór „Lira”, który w tym roku obchodził 115 lat. W 2018 roku zapadła decyzja, że budynek musi iść do rozbiórki. Musieliśmy podjąć decyzję: czy po prostu koło się zlikwiduje, a członkowie się rozejdą po innych karwińskich kołach, czy będziemy działać dalej w jakimś innym miej-



[22] Dawna szkoła podstawowa

scu. Doszliśmy do porozumienia z kolegami z PZKO z Frysztatu, gdzie w tym czasie już mieli nowy dom Polski PZKO. I tam już działaliśmy siódmy rok. Dawkowskie koło PZKO miało w przeszłości ponad 400 członków, ale w związku ze skutkami działalności górniczej ilość obniżyła się na niecałe 90 członków – informuje prezes MK PZKO Darków.

DROGA NA DAWNY DWORZEC KOLEJOWY I RESZTKI GROBOWCA LARISCHA

– Idąc dalej tą drogą dojdziemy na dawny dworzec kolejowy w Darkowie – wyjaśnia mój przewodnik, po czym ruszamy drogą zdającą się prowadzić przez zarośnięte pustkowię znikąd donikąd, podczas gdy mój przewodnik cały czas wskazuje miejsca, które pamięta. – W tym miejscu, gdzie jest ten znak drogowy informujący o ślepej drodze, był kiedyś rzeźnik, a za nim było znane stolarstwo. No i wszędzie, po obu stronach drogi, były domy rodzinne – wylicza, wskazując na krzaki to po prawej, to po lewej stronie (fot. 24).

Słowa jego potwierdzają zresztą przebijające się przez zarośla drzewa owocowe, z których nikt nie zbiera owoców. – A tutaj

[24] Droga prowadząca do byłego przystanku kolejowego Karwina-Darków



[25] Resztki grobowca Larischa





[26] W tym miejscu stał dom Józefa Ondrusza



[27] Od dawnego dworca wspinamy się schodami

był na przykład autoserwis, do którego jeździłem ze swoim samochodem. Trzy garaże, czterech mechaników. Jeden z niewielu małych prywatnych warsztatów, które za komunistów funkcjonowały – dodaje wskazując na kolejne zarośla.

Idąc drogą pomiędzy krzakami w pewnym momencie po prawej stronie, za ogrodzeniem z siatki, widzimy... resztki grobowca (fot. 25). – Chodzi o grobowiec Larischów z Solcy, który przeniesiono pierwotnie tutaj. Bodaż przed ponad dwudziestu laty w parku we Fryszacie wybudowano go na nowo. Ale o części kamieni z niego pochodzących najwyraźniej zapomniano... – Sztuka wskazuje na wystające ni stąd ni zowąd spomiedzy roślinności trzy kolumny.

Tak dochodzimy do torów kolejowych w miejscu, w którym niegdyś znajdował się dworzec kolejowy w Darkowie. – Jesteśmy na tyłach dworca – wyjaśnia mój przewodnik. Budynek był tu, gdzie stoimy. Tu były kasy biletowe, poczekania. Jak spojrzymy w prawo to w oddali widać perony obecnego dworca w Karwinie.

STĄD POCHODZIŁ JÓZEF ONDRUSZ

Przy dworcu mieszkał Józef Ondrusz. – Chodził po domach, zbierał opowiadania

i spisywał to do książek. Jego najbardziej znana książka to „Cudowny chleb”. Książka doczekała się bodaj już trzeciego wydania, wydana była także w alfabecie braila. Aktualnie dostają ją w podarunku pierwszoklasiści – wspomina Sztuka. Dodaje, że Józef Ondrusz jego też uczył, a jego żona Anna była również nauczycielką. Wskazuje dokładnie miejsce po drugiej stronie torów, gdzie stał dom Józefa Ondrusza (fot. 26).

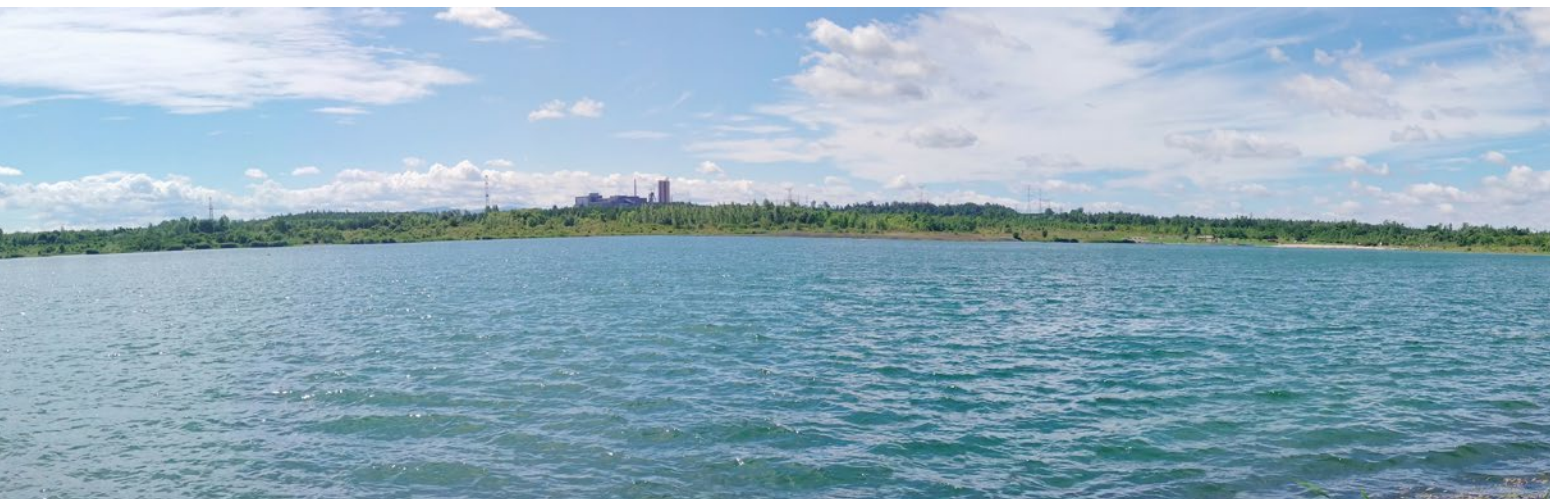
– Józef był troszeczkę młodszy od mojego taty. Byli bardzo dobrymi kolegami. Urodził się w Karwinie Darkowie w dwudziestym ósmym roku. Był to nauczyciel, bardzo znany, bardzo ceniony – podkreśla darkowianin.

GŁÓWNA SZOSA NAD MORZE

Od dawnego dworca wspinamy się schodami (fot. 27). Wychodzimy na szosę. W prawo prowadzi do Stonawy. My skręcamy w lewo. – Darków miał kiedyś takie trzy główne części. Od drogi od Cieszyna był tak zwany Czerwony Krzyż. Tutaj były Parcele, tak na tę część mówiono. Na lewo były tak zwane Lipiny – wylicza Sztuka podczas gdy idziemy chodnikiem wzdłuż szosy prowadzącej ze Stonawy do Darkowa (fot. 28). – Aktualnie na miejscu Czerwonego Krzyża i Parceli jest Karwińskie Morze, a na Lipinach jest pole golfowe. No i oczywiście wszędzie tu, po obu stronach drogi, były domy – dodaje.



[28] Idziemy chodnikiem wzdłuż szosy prowadzącej ze Stonawy do Darkowa





[29] Dawny kopalniany parking, z którego korzystają obecnie ci, którzy przyjeżdżają nad Karwińskie Morze



[30] Skrzyżowanie, na którym skręcamy w prawo by dojść nad Karwińskie Morze

Po lewej stronie mijamy kopalniany szyb wentylacyjny, który na samym początku spaceru widzieliśmy od drugiej strony. Przed nim dawny kopalniany parking, z którego korzystają obecnie ci, którzy przyjeżdżają nad Karwińskie Morze (fot. 29). W prawo raz po raz w zarośla prowadzi wydeptana ścieżka. Mój przewodnik wyjaśnia, że są to ścieżki wydeptane przez tych, którzy idą nad Karwińskie Morze. Jesteśmy bowiem już blisko tego zalewu.

Idziemy cały czas chodnikiem wzdłuż głównej drogi. Tak dochodzimy do skrzyżowania, przez które już przechodziliśmy

(fot. 30). Skręcamy w prawo. Jest tu kolejny parking, z którego mogą też skorzystać ci, którzy przyjeżdżają nad Karwińskie Morze. Przechodzimy znów mostkiem nad Młynką. Na prawo roztacza się malowniczy widok na Beskidy (fot. 31).

NAD KARWIŃSKIM MORZEM

Tak dochodzimy nad brzeg zalewu zwanego Karwińskim Morzem. Mój przewodnik przypomina, że na początku zdecydowanie bardziej adekwatnie do położenia geograficznego nazywano go Darkowskim Morzem.

Nad brzegiem zbiornika wita nas ogromna, niedawno tu ustawiona drewniana figura przedstawiająca Neptuna (fot. 32). Przed naszymi oczami rozciąga się widok na niemal bezkresną niczym morze taflę wody (fot. 33). Idziemy nad brzeg, gdzie można przysiąść na jednej z ustawionych tu ławek (fot. 34).



[31] Widok na Beskidy z mostku przez Młynkę

[33] Karwińskie Morze ▼



[32] Neptun nad Karwińskim Morzem

[34] Ławki nad brzegiem Karwińskiego Morza ▼



– Nim powstał zalew, to było na tym obszarze około 300 domów, boisko sportowe, cała miejska infrastruktura. Mam tutaj z domu pięćset metrów, często tu przyjeżdżam na rowerze. I często jestem świadkiem takich scenek, jak ludzie stoją na brzegu i pokazując palcem gdzieś na środek tafli wody mówią, że tam był ich dom, tam chodzili do szkoły i tak dalej... Jezioro ma powierzchnię 35 hektarów, a największa jego głębokość jest 22 metry. Tam w prawo jest przygotowana i utrzymywana piaszczysta plaża, tutaj ławki, a przeciwległy brzeg pozostał dziki. Dookoła całego zbiornika prowadzi asfaltowa ścieżka rowerowa, z której chętnie korzystają też rolkarze. Trasa ma niecałe 3 kilometry. Jest też infrastruktura taka, jak toalety czy drewniana przebieralnia. Miasto kupiło cały ten teren od OKD w zeszłym roku i zaczyna przystosowywać go do celów rekreacyjnych – wyjaśnia mój przewodnik.

SANATORIUM

Opuszczamy teren Darkowskiego Morza, przechodzimy przez prowizoryczny parking, mijamy czynną w sezonie popołudniami i w weekendy mobilną budkę gastronomiczną i kierujemy się z powrotem do zabytkowego mostu, którym przyszlizamy do tej części Darkowa (fot. 35).

Po przejściu mostem skręcamy w prawo, na teren Uzdrowiska. – Po prawej widzimy dawny główny budynek sanatorium. Jest to najstarszy budynek na terenie kompleksu uzdrowskiego – wskazuje mój przewodnik (fot. 36). Wyjaśnia, że Uzdrowisko nadal funkcjonuje, tylko nie w tym głównym budynku, i ma obecnie mniej miejsc dla kuracjuszy, aniżeli dawniej. Dzieli się także osobistymi informacjami takimi jak ta, że jego babcia była w sanatorium kucharką.



[35] Widok na zabytkowy most podczas powrotu do prawobrzeżnej części Darkowa

Wskazując na kolejne rozsiane wśród parkowej zieleni zabudowania (fot. 37) wyjaśnia, że są to budynki, w których zakwaterowani byli kuracjusze. Ten tu akurat nosi imię Maryczka. Wszystkie te obiekty mają kobiece imiona. Kuracjusze w nich spali. A procedury odbywały się w tym starym budynku, który teraz jest remontowany – darkowianin przybliża historię Uzdrowiska.

– Żeby leczyć, to trzeba mieć do dyspozycji coś leczniczego. Tutaj odkryto solankę. Kiedy w XIX wieku zaczęto szukać węgla kamiennego i kopano tu i tam w jego poszukiwaniu, to przy jednym takim wykopie na granicy Darkowa i Stonawy wystrzelił gejzer solanki. Już historyczne materiały podają, że tę słoną wodę ludzie używali już dawno, dawno przed tym. Że w niej gotowali, kąpali się. A jak podczas odwiertu wystrzelił gejzer z solanką, to poddano ją analizie, stwierdzono, że można nią leczyć i tak powstało sanatorium. Była to druga połowa, bodaj lata 60. XIX wieku. Teraz solanka wydobywana jest w nieczynnych już kopalniach. A co do samego sanatorium, to najpierw były drewniane budynki,

później wzniesiono murowane. Cały czas jest też tutaj bardzo ładny utrzymywany park – mówi mój przewodnik.

DOM ZDROJOWY

Idąc dalej przez uzdrowski park widzimy dom zdrojowy – obecnie ogrodzony płotem, z rojącym się od pracujących robotników placem (fot. 38). – Dom Zdrojowy jest bardzo znanym miejscem, gdzie odbywają się najróżniejsze imprezy. Nasze Koło PZKO organizowało tutaj też bale PZKO-wskie, odbyły się tutaj setki występów chóru „Lira”, był tu organizowany słynny „Maj nad Olzą”. Właśnie tutaj w roku 1976 się żeniłem, a moja mama była cukiernikiem w tutejszej cukierni – wylicza Sztuła.

Mój przewodnik uchyla także rąbka tajemnicy, co zobaczymy, gdy trwające właśnie przed frontowym wejściem do Domu Zdrojowego prace budowlane się zakończą.

– Tu były jeszcze w zeszłym roku wszędzie drzewa, takie jak w całym parku. Podobno

[36] Dawny główny budynek sanatorium



[37] Jeden z budynków, w których zakwaterowani byli kuracjusze





[38] Dom Zdrojowy

niektóre już były chore, gałęzie się łamały, były to niebezpieczne, więc właściciele Uzdrawiska postanowili, że cały teren przed budynkiem przerobią. Na jesień wykarczowali wszystkie drzewa i teraz budują tutaj nowoczesną kolumnadę spacerową z wodotryskami, chodnikami.

Gdy idziemy przez park zdrojowy, po lewej stronie widzimy opłocną część parku wokół domu opieki „Alzheimer”. Pozostała część parku została otwarta i ogólnodostępna i dla kuracjuszy, i wszystkich, którzy chcą tu pospacerować.

Ruszamy parkowymi alejkami zachwycając się urokiem tego miejsca. – *Taka ciekawostka: trener piłkarski ligowej drużyny Karwiny jest „bity prażak”. A jak tu przyjechał, to mówił, że jest w szoku z tego, jak tu jest ładnie. Jest sportowcem, jeździ tu na rolkach, na rowerze i mówi, że tu jest tak ładna okolica, że mieszkając w Pradze ani nie pomyślał, że gdzieś na dalekiej prowincji może być tak pięknie. Ja też, jako lokalny patriota, myślę, że nigdzie nie jest tak pięknie, jak w Darkowie* – stwierdza prezes darkowskiego MK PZKO.

Gdy idziemy przez park (fot. 39), mój przewodnik pokazuje mi jeszcze po drodze dawne ujęcia solanki. Przyglądamy się też nowoczesnym rzeźbom żartując, jak to dobrze, że te wytwory sztuki współczesnej są opisane, bo inaczej człowiek by się nie domyślił, co artysta miał na myśli...

Mijamy od drugiej strony pomnik ofiar wojen światowych. Kontynuujemy nasz spacer alejką mając po prawej stronie wciąż park zdrojowy, po lewej zaś domy rodzinne. – *Ten budynek tu z tym czerwonym dachem*

jest na sprzedaż. Ale tu jest najniższe płożone miejsce w Darkowie. Dom zalewa przy każdej powodzi. Na elewacji widać, do jakiej wysokości – zauważa mój przewodnik.

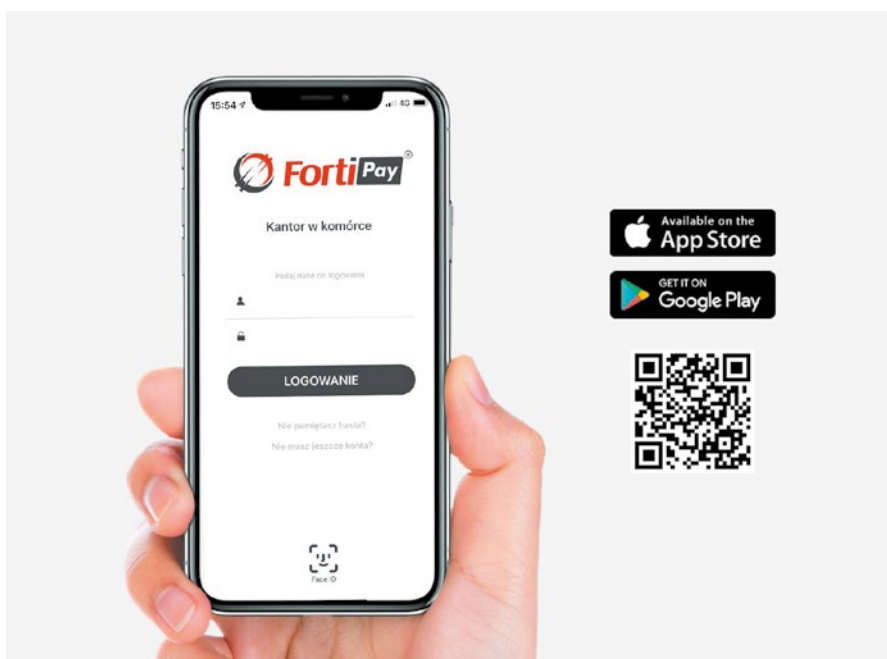


[39] Park zdrojowy

– *Gdyby ktoś przyjechał autobusem do Karwiny, mógłby tutaj skręcić w prawo i wyszedłby na szpital i na tę główną drogę, na przystanek Karwina, szpital – wskazuje na wiodącą w prawo alejkę.*

My jednak idziemy dalej prosto, równolegle do głównej drogi, którą zśliśmy w przeciwnym kierunku na początku naszego spaceru. Alejka, którą idziemy, powstała w miejscu, gdzie dawniej biegła wspomniana już linia kolejowa. Informuje o tym zresztą kolejna napotkana tablica informacyjna szlaku dawnej kolei.

Gdy parkowa alejka wyprowadzi nas na główną ulicę Karola Śliwki, skręcamy w prawo. Do parkingu i przystanku autobusowego, gdzie zaczynaliśmy nasz spacer, mamy już tylko niecałe pół kilometra. Możemy przejść je chodnikiem wzdłuż ulicy Karola Śliwki, albo przejść na drugą stronę i pójść alejką parku Bożeny Niemcevej. Za nami 7-kilometrowy spacer.





AUSTRALIA ZACHODNIA PIASKI I REKINY

TEKST I ZDJĘCIA: DAREK JEDZOK

Tak wtopić, to potrafimy tylko my. Jedziemy przez czarną pustkę bez jedzenia, wody i miejsca na nocleg. Przed nami, bagatela, ponad tysiąc kilometrów. I pomyśleć, że to wszystko tylko dlatego, że zachciało nam się zobaczyć rekina wielkości autobusu.

FALSTART

Ale wróć. Jak w ogóle znaleźliśmy się w tym aucie, w środku nocy, kilkaset kilometrów od cywilizacji? Otóż nałożyło się kilka spraw: spontaniczna decyzja w ostatniej chwili, oraz długi weekend, kiedy wszystkie miejsca na campingach i samochody do wypożyczenia są już od miesięcy zaklepane. W skrócie praktycznie zero przygotowania. Postanowiliśmy zagrać *va banque*, wypożyczyć jakiegokolwiek dostępne auto, a noclegi ogarnąć na miejscu, na wariata.

Udało się! Campervanów już nie było, więc wzięliśmy czołg – ogromną, terenową Toyotę Hilux ze składanym namiotem na dachu. Do Perth, stolicy stanu Zachodnia Australia, przylecieliśmy późnym popołudniem, więc auto czekało na nas przed zamkniętą wypożyczalnią, z kluczykiem ukrytym pod jednym z błotników. Dopiero co wysiedliśmy z samolotu, a więc nie



Rekin wielorybi



◀ Ningaloo Reef z lotu drona / ▲ Przydacznia olbrzymia, Ningaloo Reef

licy 50 kilometrów wszystko było zamknięte. Właścicielka campingu uśmiecha się, wzrusza ramionami i ponownie ginie w ciemności i szumie cykad. Jedzenie, które nam przyniosła, było warte o wiele więcej niż cena naszego noclegu. Jak tu nie uwielbiać Australijczyków?

Jeszcze przed świtem składamy namiot i ruszamy w drogę. Toyota połyka kilometry, a za oknami przesuwały się coraz bardziej spragnione krajobrazy. Busz rzednie, z piasku wyskakują formacje skalne, w niskich zagajnikach leżą dzikie kozły o ogromnych rogach. Ukrywają się przed słońcem, które rozgrzewa krajobraz jak patelnia. Ale nie dajmy się zwieść tej pozornie martwej pustce. Zachodnie wybrzeże obfituje w geologiczne ciekawostki.

SZLAKIEM CUDÓW NATURY

Niecałe dwieście kilometrów na północ od Perth znajduje się fragment pustyni pokryty dziwaczными, kamiennymi szpikulcami. The Pinnacles to wapienne formacje przypominające czasem nagrobki, czasem wieże, innym razem grzyby lub katowskie kaptury. Przez długi czas ich pochodzenie było owiane tajemnicą – niektórzy naukowcy domniemywali, że mogą to być skamieniałe odlewy korzeni prehistorycznej puszczy. Obecnie panuje konsensus, że ten kamienny las powstał w wyniku wietrzenia warstw sprasowanych muszli po wycofaniu się morza około 30 tysięcy lat

mieliśmy żadnego prowiantu ani planu na nocleg, ale... nie było czasu do stracenia. Słońce już muskało horyzont, a my chcieliśmy jak najszybciej dotrzeć do Exmouth oddalonego o ponad 1200 kilometrów. Na pewno znajdziemy coś po drodze.

Tyle, że nie.

W dwie godziny później zostawiliśmy Perth daleko za sobą, brniemy przez asfaltową czarną noc, a Google Maps pokazuje, że wszystkie campingi i stacje benzynowe są albo zamknięte, albo dodałyby do trasy kolejne cenne kilometry. W końcu pojawia się jedno światełko w tunelu – mały, prywatny camping. Próbowujemy szczęścia. Właścicielka, drobna kobieta po sześćdziesiątce, właśnie zamyka stróżówkę i nieuf-

nie patrzy na dwóch cudzoziemców, którzy wyskoczyli na nią z ciemności. Bez bookingu, bez jedzenia, bez wody. W trakcie składania podpisów i płacenia za miejsce wyjaśniłem to i owo, i wydawało mi się, że nasza gospodyni zaczyna na nas patrzeć z odrobiną szczerzej troski. Podziękowałem, przeparkowaliśmy czołga i zabraliśmy się do rozkładania namiotu. W niecałą godzinę później, po kolacji składającej się z gumy do żucia i wody naczepianej w campingowej toalecie, słyszymy szelest kroków na trawie. Z mroku wyłania się właścicielka niosąca tace z jedzeniem – dwa kompletne zestawy KFC, z deserem i napojami. Patrzę z niedowierzaniem, dziękuję kłaniając się w pół i próbuję z niej wycisnąć wyjaśnienie. Przecież szukaliśmy na Google, w oko-



The Pinnacles, widok ogólny



The Pinnacles, widok szczególnie



The Pinnacles zasłonięte przez zwiedzających

temu, jednak do wyobraźni najbardziej przemawia Aborygeńska legenda. Pierwotni mieszkańcy wierzą, że The Pinnacles to skamieniałe duchy osób, które zapuściły się na ten zakazany obszar.

Koło niedalekiego miasteczka Cervantes znajduje się kolejne okno do historii naszej planety, tym razem sięgające o wiele dalej, do samych początków życia na Ziemi.

Z dna płytkiego jeziora Thetis wystają chropowate, obłe kamienie, które przy bliższym spojrzeniu wydzielają drobne bąbelki gazu. Te żywe głązy, tzw. stromatolity, to efekt uboczny kolonii sinic, które na przestrzeni stuleci i tysiącleci sklejały cieniutkie warstewki piasku i minerałów. Wchodzimy tutaj na skalę czasu wykraczającą poza nasze możliwości poznawcze – pierwsze tzw. stromatolity pojawiły się na Ziemi ponad 3,5 miliarda lat temu i przez kolejnych parę miliardów lat były jedną z wiodących form życia. Dzisiaj zostały zepchnięte do nielicznych nisz, najczęściej solnych jezior i lagun, w których nie mogą ich osiągnąć roślinożercy – je-

zioro Thetis jest jedną z takich rzadkich oaz. Paleontologiczny skansen.

Siedemset kilometrów na północ trafiamy na kolejny ciąg krajobrazów z innej planety. Zatoka Rekina wita nas bielusińką 60-kilometrową Shell Beach. Podchodzimy do wody, patrzymy pod stopy, ale mózg nie do końca chce się pogodzić z faktem, że pod nogami nie skrzypi nam piasek – Shell Beach to jedna z dwóch plaż na świecie, składających się w całości z warstwy białych muszelek, która osiąga tutaj grubość od 7 do 10 metrów. Dolne pokłady muszelek zostały przez tony nacisku sprasowane w kamień, z którego zbudowano wiele domów w niedalekiej miejscinie Denham.

Jedziemy dalej. Zatrzymujemy się na czubku klifu Eagle Bluff otaczającego szeroką, płytką zatokę. Woda na jej dnie mieni się wszystkimi odcieniami błękitu i zieleni, a między ciemnymi plamami koralowców prześlizgują się leniwie kształty morskich zwierząt – żółwi, płaszczyk i rekinów. Mały przedsmak tego, co czeka nas na północy, na rafie koralowej Ningaloo.

ŚNIADANIE Z DELFINAMI

Teraz jednak osiadamy w Monkey Mia na samym brzegu parku narodowego im. Francois Perona. Miejsce to słynie ze spotkania z lokalną populacją delfinów, które od 50 lat odwiedzają tutejsze brzegi. Codziennie rano, a czasem nawet kilka razy w ciągu dnia, na płycizny Monkey Mia wpływa kilka rodzin delfinów, by – po pierwsze – przyjrzeć się dziwnym, łysym małpom stojącym po kostki w wodzie, a po drugie – załapać się na kilka rybek.

Czekamy cierpliwie na piasku na przybycie gwiazd tego poranka. Czas umila nam żółt morski bujający się na falach pod moło, pelikan dumnie przechadzający się po plaży i niewinnie zerkający na wiadro z rybami, oraz dwa emu przeczesujące okoliczne krzaki. W międzyczasie turyści dzielą się na grupy i ustawiają się wzdłuż brzegu. W odróżnieniu od większości atrakcji z udziałem ssaków morskich, tutaj na pierwszym miejscu stoi komfort i zdrowie delfinów – to one wybierają, do kogo się zbliżą, a pracownicy parku znają poszcze-



Delfin na śniadanie



Bardzo, bardzo dużo muszelek



Stromatolity w jeziorze Thetis

gólne osobniki i pilnują przestrzegania zasad. A te są dosyć surowe – podczas jednej wizyty można dokarmić najwyżej pięć delfinów, a żaden z nich nie może tu zjeść więcej niż 10% swojego dziennego zapotrzebowania.

Są! Z wody wynurza się pierwsza płetwa, potem druga, trzecia, piąta... Grzbiety lśnią w słońcu jak porcelana, niektóre zwierzęta podpływają do kobiety z wiadrzem, inne z gracją przewracają się w wodzie, zerkając na nas mądrym okiem.

Cała Zatoka Rekina (Shark Bay) to miejsce, które jest obecnie znane ze swoich cudów natury, jednak droga do tej rajskości była długa i kręta. Aborygeni mieszkali tutaj od ponad dwudziestu tysięcy lat, pierwszą białą nogę postawili tu Holendrzy w 1616 roku. W XIX wieku okoliczny krajobraz zaczęły pustoszyć stada owiec, krów i kóz, podczas gdy wody wyzyskiwali rybacy i Małajscy poławiacze peret. Na początku XX wieku Norwedzy rozpoczęli tutaj polowania na wieloryby – w latach 30-tych co roku ginęło tutaj tysiąc humbaków.

Aby przywrócić zachwianą równowagę miejscowych ekosystemów, trzeba było zacząć od usunięcia ogromnych populacji inwazyjnych gatunków zwierząt zawleczonych tutaj przez generacje marynarzy i pasterzy. I tutaj dopisało położenie geograficzne – półwysp Zatoki Rekina potoczony jest z lądem cieniutkim przesmykiem, a pobliska wyspa Dirk Hartog jest od niego całkowicie odizolowana. Ruszyła ambitna akcja likwidacyjna, która miejscami przypominała kino akcji. W 2016 roku usunięto z wyspy wszystkie owce, w 2017 szczury, a w 2018 koty. Najtrudniej było z kozami, które nauczyły się unikać najpierw pułapek, potem myśliwych, a w końcu – wojskowych śmigłowców ze snajperami.

Ostatecznie zastosowano sprawdzony sposób na „kozę-Judasza”. Na wyspie wysadzono kozę z nadajnikiem GPS. Kozą, stadne zwierzę, zaczęła szukać pobratymców, a gdy ich znalazła, snajper wiedział już dokładnie, gdzie lecieć. W ten sposób udało się doprowadzić do końca akcję wybijania ponad 11 tysięcy kóz zamieszkują-

cych wyspę Dirk Hartog, i rozpocząć finałowy etap ambitnego programu *Powrót do roku 1616*, czyli przywrócenia składu rodzimych gatunków flory i fauny do postaci sprzed pierwszej wizyty Europejczyków. Podobne wehikuły czasu zostały uruchomione na kilku wyspach Australii i Nowej Zelandii – wyłknięcie inwazyjnych gatunków na lądzie jest prawie lub całkowicie niemożliwe, więc w wielu przypadkach taka odizolowana Arka Noego pozostaje jedyną możliwością ratunku.

Przemierzając odludzia Australii Zachodniej łatwo zapomnieć o tym postępującym kryzysie ekologicznym, australijskie krajobrazy często zaskakują, a czasem wręcz szokują bioróżnorodnością. Na jednym z odcinków trasy wokół samochodu zrobiło się ciemno – wjechaliśmy w chmurę węzek, która ciągnęła się przez kilkanaście kilometrów. Kilkucentymetrowe śmigłowce krzyżowały nam drogę pod wszystkimi możliwymi kątami, nie sposób było uniknąć kolizji, więc musieliśmy się oswoić z miarowym mlaskaniem ciałek roztrzasku-



Jeden z domów zbudowanych z muszeliwanych cegieł



Uwaga, zły pies



Zwrotnik Koziorożca

jących się o szybę. Na najbliższym postoju spędziliśmy kilka minut na wyciąganiu odwłoków i skrzydełek z lusterek, wycieraczek i reflektorów.

Uciekamy dalej na północ, przeskakując przez Zwrotnik Koziorożca. W ostatnich minutach zachodu słońca docieramy do celu naszej podróży. Rozpalona, piaszczysta plansza outbackowego krajobrazu nabiera krwistoczerwonego koloru, a z ziemi wyrastają surrealistycznie wykrzywione monumenty. Najpierw pojedynczo, potem dziesiątkami, w końcu cała okolica posiana jest pagórkami i wieżami. To kopce termitów – największe z nich sięgają dwóch metrów wysokości i stoją tu od kilkudziesięciu lat, służąc za schronienie nie tylko termitom, ale też innym zwierzętom. Badania wykazały, że w miejscowych termitierach żyje przeciętnie około 30, ale czasem aż 150 kręgowców – głównie gadów i małych ssaków.

Mijamy te małe miasta, które powoli zmieniają kolor z pomarańczowego na krwistoczerwony, a następnie zmieniają się

w czarne sylwetki na tle gasnącego horyzontu. W ostatnich promieniach miga koło drogi tablica ostrzegająca przed atakami psów dingo. Jej róg jest ustrzelony strumem z dubeltówki. Witamy w Exmouth.

SPOTKANIE PLANOWANE

Rano budzimy się w towarzystwie lokalnej fauny – przy kranie z wodą zebrały się różowe kakadu zwane galah, między namiotami i samochodami tupta półtorametry waran polujący na resztki z wczorajszej kolacji. My nie myślimy o jedzeniu – w głowie mamy tylko spotkanie, które czeka nas już za kilkadziesiąt minut.

Podjeżdżamy pod punkt zbiórki i wsiadamy do małego busika, który wiezie nas po zakurzonej drodze do niedalekiej przystani. Mijamy ogrodzenie, za którym znajduje się stacja łączności morskiej im. Harolda E. Holta, która dzięki mocy 1 megawata nosi tytuł najpotężniejszej stacji komunikacyjnej na Półkuli Południowej. Na terenie stacji rozstawionych jest trzynaście

absurdalnie wysokich anten – najwyższa z nich ma prawie 390 metrów wysokości!

Ale nie to nam w głowach. My już dojeżdżamy pod jacht, wskazujemy na pokład, ubieramy pianki i przymierzamy gogle i rurki. Dziób statku rozpruwa fale, wypływając na otwarty ocean, podczas gdy nasza kilkunastoosobowa grupa z wypiekami na twarzy słucha szybkiego instruktażu. Wybrzeże patroluje śmigłowiec wypatrujący rekinów wielorybich płynących wzdłuż wybrzeża – płyną zwykle w linii prostej, więc można stosunkowo łatwo przewidzieć, gdzie będą za kilka minut. Kapitan naszego statku stara się dotrzeć na pozycję na czas, my mamy się przygotować i na sygnał wskoczyć do wody. Proste?

Łatwo powiedzieć. Co innego pływać lub snorkelować przy brzegu, a co innego wskoczyć w bezdenną głębię. Przypomina nam się historia znajomego Australijczyka – chłop jak szafa, gracz rugby, pojechał w podobny rejs, wskoczył do wody prosto przed rekina, dostał w brzuch i, ehm, skasztanił się w skafander.



Klify Eagle Bluff



Megalopolis termitów



Latarnia w Exmouth

Ale nic to. Jest gwizdek! Zerkamy przez burtę, ale między falami nie widać żadnego kształtu, wygląda na to, że rekin jest daleko. I tak wskakujemy. Patrzymy w dół i po plecach przebiega nam dreszcz ekscytacji – woda pod płetwami mieni kolor z niebieskiego w głęboki błękit, a następnie w hipnotyzującą, bezdenną czern. Snorkelujemy od lat, ale jeszcze nigdy nie byliśmy nad taką otchłanią. Nagle uświadamiamy sobie, że jesteśmy pyłkiem w ogromnej wodnej katedrze, intruzami w obcym, obojętnym świecie, bezbronnymi lądowymi ssakami wyrwanymi ze swojego żywiołu.

Bardziej intuicyjnie niż świadomie wyczuwam jakąś zmianę w otoczeniu. Podnoszę wzrok i prawie wypływam rurkę. Patrzę prosto na wielgachny, obły kształt, który sunie w moją stronę tuż pod taflą wody. To, czego nie mogłem dostrzec z pokładu, jest tutaj na wyciągnięcie ręki – ogromna, bezzębna paszcza, granatowy grzbiet pokryty białymi cętkami, płetwa ogonowa leniwie wachlująca w prawo i w lewo. Rekin się nie śpieszy, plankton nigdzie mu nie

ucieknę. Nasze mózgi po raz kolejny nie potrafią się pogodzić z tym, co wysyłają do nich oczy. Czytaliśmy artykuły, widzieliśmy zdjęcia, oglądaliśmy filmy, ale... Na coś takiego nie da się mentalnie przygotować.

Zwierzę, które powoli mija nas niczym podwodny autobus, ma może z 6–7 metrów długości. Nie jest rekordzistą, bo największy osobnik mierzył 18 metrów, ale jego gabaryty i tak przepalają nam w głowach wszystkie obwody. Sunie do przodu z nieuchronnością lodowca, leniwie ruszając na boki tym swoim ogonem wielkim jak drzwi, a wokół jego błękitnego cielska trzepocze ławica podnawek, ryb-autostopowiczek wyposażonych w przyssawki, lubiących podróżować na gapę z podwodnymi olbrzymami.

W wodzie jest kilka osób, ale prawie nikt się nie rusza. Zanim otrząśniemy się z szoku, rekin mija nas kilkoma powolnymi machnięciami ogona i znika. Niezdarnie wspina się na pokład i czekamy na kolejne sygnały. Jest jeszcze jeden. I kolejny. Raz po raz zanurzamy się w wodzie na

ponowne spotkanie z olbrzymem, ale to wrażenie własnej nieadekwatności i maluczkości wcale nie znika.

W końcu po raz ostatni patrzymy w łagodnie, jasne oko, a rekin kończy widowisko. Opada w dół, w otchłań, jego grzbiet ciemnieje, już widać tylko ciemny kontur jego ciała. Znika. Koniec audycji.

SPOTKANIE NIEPLANOWANE

Następnego dnia pakujemy manatki i ruszamy na południe, w drogę powrotną. Postanowiliśmy skorzystać z możliwości naszego czołgowozu i odwiedzić kilka plaż wzdłuż rafy Ningaloo, dostępnych tylko dla pojazdów terenowych.

Ningaloo jest mniejsza od Wielkiej Rafy Koralowej i przez lata uchodziła za miejsce bardziej odporne na kaprysy zmian klimatycznych. Kilka miesięcy później rafa podzieliła jednak los swojej większej siostry – potężna fala morskich upałów, trwająca od grudnia 2024 do kwietnia 2025, wywo-



Przypadkowy żółw



Emu w Monkey Mia



Galah, kakadu różowe



Zatoki Rottneest Island, Perth

łała najpoważniejsze w historii masowe bielenie koralowców. Katastrofa rozciągnęła się na ponad 1500 kilometrów raf północno zachodniej Australii. W samym Ningaloo blisko 300 kilometrów podwodnych ogrodów straciło od jednej trzeciej do niemal wszystkich kolonii. To bolesny obraz zmian klimatycznych, które wyniszczają kolejne fragmenty australijskiego kontynentu. W czasie naszej wyprawy Ningaloo tętniła jeszcze życiem i bogactwem kolorów, a więc nie mogliśmy się oprzeć. I dostało nam się trochę więcej wrażeń, niż zamówiliśmy.

Upuszczamy powietrze z opon, aby nie ugrzęznąć w piasku, i ruszamy wąskim szlakiem przez wydmy. Po kilku minutach otwiera się przed nami przepiękny krajobraz – białe piaski schodzą w krystalicznie czyste wody Oceanu Indyjskiego, nawet bez wysiadania z samochodu widzimy ciemne plamy rafy koralowej. Wiedziałem, że z góry musi to wyglądać jeszcze piękniej, więc od razu po zatrzymaniu samochodu rozpakowuję drona i szybko przelatuję wzdłuż plaży. Niestety podczas lądowania dochodzi do małego wypadku, śmigła ucięty w palec Zosi. Szybko opatrujemy jej ranę, ale biedna wchodzi do wody z krwawiącym palcem. Błąd.

Po zanurzeniu kompletnie zatracamy się w podwodnym świecie. W korytarzach i szczelinach rafy chowają się chmary ryb i skorupiaków, tu i ówdzie z piasku wystaje kolorowa, falista paszcza przydaczni olbrzymiej, największego małża na świecie. Po raz pierwszy widzę ryby różnych gatunków pływające w ogromnych grupach – węże migoczących ciał ciągną się czasem przez kilkanaście metrów.

Zosia też zapomniała o rozciętym palcu. W pewnym momencie znajduje wielką, kolorową rozgwiazdę, więc macha do

mnie, abym podpłynął i zrobił zdjęcie. Zauważam jej sygnały kątem oka, więc odwracam się i... zamieram. Zosia stoi na dnie i z ekscytacją wskazuje na rozgwiazdę, a z błękitu za jej plecami wynurza się dwumetrowy rekin. I to nie ten nieszkodliwy, planktonożerny, wielorybi. Ten ma zęby, i jest tak blisko, że mógłbym je policzyc. Wiem, że to głupie, ale w głowie zaczyna mi grać motyw ze „Szczęk”.

Nigdy w życiu nie płynąłem tak szybko. Mózg kąpie się w adrenalinie, przebycie każdego metra trwa wieki, w zwolnionym tempie oglądam jak zwierzę zatacza łagodny łuk, skręca i przepływa tuż za plecami Zosi. Wielka gałka oczna zwraca się w jej stronę, zastyga na chwilę, a później apatycznie przesuwa się do przodu. Docieram do Zosi, która cieszy się, że tak ekscytuję się rozgwiazdą – łapie ją za brodę i odwracam jej głowę do tyłu akurat w chwili, gdy mija ją płetwa ogonowa.

Rekin nie jest nami zainteresowany. Kończy łuk, oddala się, znika za krawędzią rafy. Bez słów uzgadniamy, że na dzisiaj koniec snorkelowania i ruszamy pędem do brzegu. Kilka minut po nas z wody wyskakuje trójka kobiet rumianych z wysiłku i podniecenia – *Jezus, widzieliście? Widzie-*

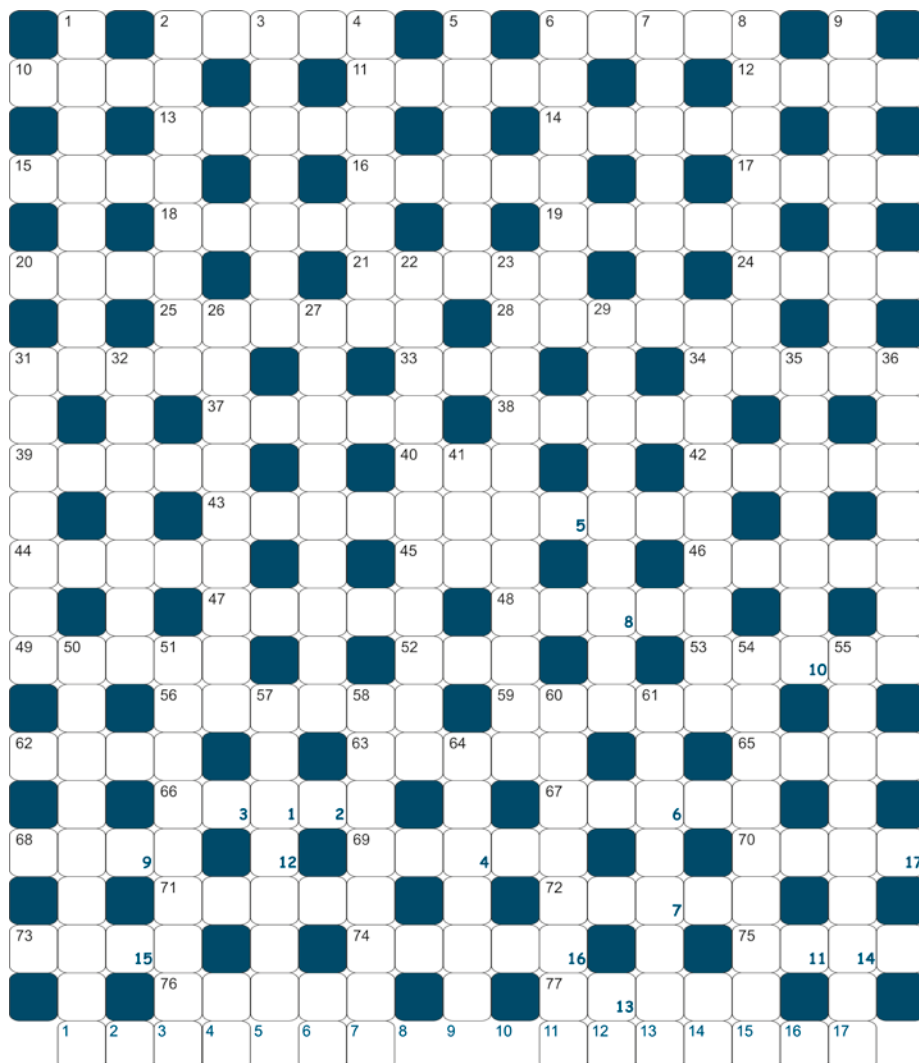
liście to? Rekin! Przytakujemy i idziemy lepiej opatrzyć palec Zosi. Nie wiem, jaki gatunek spotkaliśmy. Nie mam zdjęcia. Dopiero na brzegu przypomniałem sobie, że przez cały czas kurczowo trzymałem w ręku podwodny aparat. Adrenalina kompletnie wypłukała z mózgu lata pielęgnowania dziennikarskich odruchów. Natura na pożegnanie przypomniła nam, że jesteśmy w wodzie tylko gośćmi.

Wystarczy tego dobrego. Wsiadamy do auta i żegnamy się z krainą rekinów. Przed nami znowu tysiąc kilometrów, a potem kilka dni dekompresji u starych znajomych w Perth. Ukąśliśmy kolejny spory kawałek Czerwonego Kontynentu, ale to nadal kropla wody w oceanie. W tym przypadku – Indyjskim.

Patrząc na zbliżające się czubki wieżowców w Perth pomyślałem, że w Zachodniej Australii najważniejsza jest nie lista miejsc, które trzeba „zaliczyć”, ale sama droga – dziwaczna i piękna, wyboista i gościnna. W pamięci utkwią nie tylko rekiny czy muszelkowe plaże, ale też papierowy talerz podany z uśmiechem przez nieznaną. W Australii cuda natury spletają się z małymi, bezinteresownymi gestami ludzi. I za to ją uwielbiam.



Snorkelowanie czas zacząć



POZIOMO:

2. podtrzymuje spodnie
6. powała
10. kłatka taśmy filmowej
11. krótkotrwałe wzruszenie
12. sąsiad Tajlandii
13. sprawunek
14. witka
15. efekt niedoboru jodu
16. Krzysztof, aktor i dziennikarz polski
17. uchodzi do Wisły poniżej Nowego Korczyna
18. opisał podróżę *Guliwera*
19. znany port w Szwecji
20. naczynie na zupe
21. umowa o pracę
24. bajkopisarz grecki
25. bilon potocznie
28. niezamarzający port norweski
31. pożywny napój
33. owad błonkoskrzydły
34. żołnierz wojsk inżynieryjnych
37. silnik
38. precyzyjnie myśli
39. wielki rozgłos
40. baśniowy duszek
42. tytoniowe miasto
43. łatwowierność
44. jednostka kuligu
45. srebrzystobiały lantanowiec

46. hutniczy proces
47. funkcja trygonometryczna
48. październikowy solenizant
49. start z lotniska
52. między sopranem a tenorem
53. sytuacja bez wyjścia
56. żaglowy okręt wojenny
59. hipotetyczne cząstki elementarne
62. polemika
63. dawny Turek
65. futerał na precjoza
66. lekkoatleta amerykański

67. biuro
68. skrzyżny, czyli po turecku
69. do Narwi wpada
70. splin
71. szkodliwy nawyk
72. osady w tętnicy
73. kobieta
74. ipsylon
75. dozorca
76. szata duchownego
77. dusznica

PIONOWO:

1. malowidło dużych rozmiarów
2. afekcja
3. twarde na zębie
4. *Pierwszy po Bogu* na statku
5. gryzoń górski, znany samobójca
6. zdejmowanie runa z owiec
7. odległość między kołami
8. brezent na ciężarówce
9. rozstajne drogi
22. nurt w architekturze
23. nie umie czytać ani pisać
26. student romanistyki
27. rozkładanie się w obecności tlenu
29. polska czapka wojskowa
30. magneto
31. drzewce narzędzia kosiarza
32. ludzik z brodą i czerwoną czapczką
35. wybieg
36. wierszokleta
41. we Włoszech przed euro
50. kopia
51. wiecznie przesadza
54. naczynie do mycia w kształcie misy
55. był pierwszy na biegunie południowym
57. izbica
58. nauka o ptasich jajach
60. oczko w głowie dziadka
61. rozkrzewienie
64. Wolfgang Amadeusz

ROZWIĄZANIE DODATKOWE (Ulewny film) / Opr. BIKI

Rozwiązanie dodatkowe prosimy przysyłać na adres pocztowy lub e-mail: info@zwrot.cz do **9 września 2025**.

Rozwiązanie krzyżówki z nr 7/2025: Kaczka dziennikarska.

Nagrodę, bono do Vinoteki Jakub, za nadesłanie poprawnego rozwiązania otrzymuje Halina Twardzik. Gratulujemy!



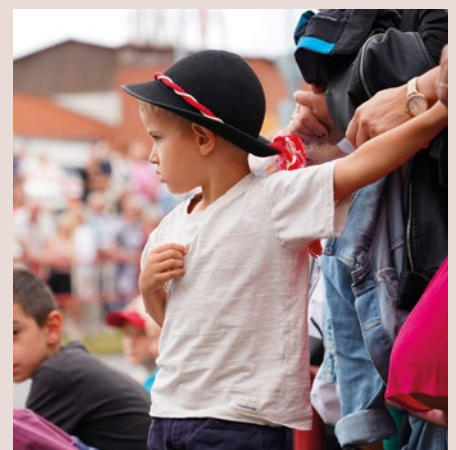
VINOTEKA JAKUB NAJLEPSZE WINA W CENTRUM CZESKIEGO CIESZYNA

vinotekajakub.cz
Smetanova 1908/9
CZESKI CIESZYN



KOROWÓD 78. GOROLSKIGO ŚWIĘTA W OBIEKTYWIE JOLI IWANUSZEK JABŁONKÓW, 1-3 SIERPNIA 2025





PAMIĄTKA RODZINNA

KUFEL DO PIWA Z NAPISEM „PIWA KARWIŃSKIE”, KARWINA, POCZ. XX W.

Ze zbiorów rodzinnych Evalda Kaczyńskiego / Opis: Sylwia Grudzień



Kufel do piwa wykonany z grubego, bezbarwnego szkła prasowanego, charakteryzujący się masywnością i ryflowaną powierzchnią. Z przodu widnieje tłoczony napis „PIWA KARWIŃSKIE” umieszczony w stylizowanej tarczy herbowej. Kufel jest dwustronny – główne naczynie o pojemności 250 ml przeznaczone jest do picia piwa, po odwróceniu kufła do góry nogami, do naczynia w dnie, można było nalać wódkę.

Eksponat pochodzi z Karwiny – miasta o bogatych tradycjach piwowarskich. Naczynie mogło być używane w lokalnych gospodach i browarach jako typowe szkło barowe. Tłoczenie nazwy wskazuje na jego funkcję promocyjną.

Więcej na temat browaru karwińskiego i pamiątek rodzinnych Evalda Kaczyńskiego w środku numeru.

Drodzy Czytelnicy i Czytelniczki! Zwracamy się z prośbą o nadsyłanie zdjęć i skanów pamiątek rodzinnych, takich jak dokumenty, listy, fotografie, ale i przedmioty codziennego użytku, meble, obrazy, itp. Pamiątka ma mieć dla właściciela wartość sentymentalną i wiązać się z rodzinną historią. Propozycje prosimy kierować pod adres: sylwia@zwrot.cz, tel. 777 710 648.